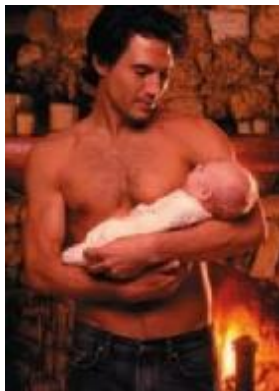




ALISON ROBERTS

Prawdziwy tata

Tytuł oryginalny: Definitely Daddy



PROLOG

To coś znowu się odezwało.

Patrick Miller czuł, jak włos jeży mu się na głowie. Dobiegający go głuchy jęk nie pochodził z koszmarnego snu. Był realny. Ktoś wyraźnie cierpiał i potrzebował pomocy.

Odwrócił wzrok od linii horyzontu, gdzie szarość morza zlewała się z identyczną szarością nieba, i obrzucił badawczym spojrzeniem kamienisty brzeg, którego monotonię urozmaicały jedynie kłody drewna wyrzucone przez morskie fale. Nic jednak nie wzbudziło jego niepokoju.

Mimo to wciąż stał nieruchomo i nasłuchiwał. Pchana przez gwałtowny podmuch wiatru fala rozprysnęła się nagle o przybrzeżne kamienie, oblewając go strumieniem wodnego pyłu i pogłębiając narastające uczucie osamotnienia. Zachodnie wybrzeże nowozelandzkiej Wyspy Południowej było znane z nieskażonego cywilizacją piękna, nie zamieszkanym obszarów i ulewnych deszczy. Urok tych miejsc spowodował, że wybrał jazdę wzdłuż wybrzeża z tej strony wyspy, by przekroczyć Alpy Południowe i objąć nową posadę w Christchurch na wybrzeżu wschodnim. Z tego samego powodu wybrał boczną drogę, z dala od głównej szosy.

Wokół panowała cisza przerywana jedynie krzykiem krążących w górze mew. Być może to właśnie ich głos słyszał?

Nie. Tym razem dźwięk rozległ się tak blisko, że mógł okre-

ślić kierunek, skąd dobiegał. Ogromna kłoda na szczycie piaszczystej skarpy i cień rzucający przez rosnące w pobliżu samotne drzewo kryły jakąś postać. Kobieta, pomyślał, kiedy podszedł bliżej. Burza potarganych, rudych włosów okalała bladą twarz o ciemnych, zagniewanych oczach.

- Co się stało? - zapytał. - Czy jest pani ranna?

Kobieta pokręciła głową, po czym, przytrzymując się pnia drzewa, z trudem dźwignęła się z ziemi.

- Nie potrzebuję pomocy. Proszę mnie zostawić w spokoju.

- Chyba jednak pomoc jest pani potrzebna - ciągnął, nie zrażony jej reakcją. - Jestem lekarzem. Może mógłbym coś dla pani zrobić.

Kobieta dyszała, trzymając się oburącz pnia. I wtedy Patrick zauważył wydatny brzuch ukryty za obszernym pulowerem.

- Jest pani w ciąży! - zawołał.

- Co za niezwykła spostrzegawczość! - zakpiła. - A teraz niech pan idzie do diabła i da mi wreszcie święty spokój.

Zacisnął zęby. Ta kobieta, bez względu na to, co mówi, potrzebuje pomocy i tylko on może jej tej pomocy udzielić. Wszystko wskazuje na to, że w odległości wielu mil nie ma tu żywej duszy. Spojrzał na pobielale z wysiłku palce, z trudem trzymające się gałęzi drzewa. Na jednym z nich zauważył złotą obrączkę.

- Gdzie jest pani małżonek?

- To nie pański interes! - rzuciła z furją.

- Co, u licha, robi pani sama na tym odludziu?

- Szukam samotności. Może pan to zrozumie i odejdzie?

- Nie ma mowy - oznajmił Patrick i badawczym spojrzeniem obrzucił jej sylwetkę, zatrzymując wzrok na jasnej spódnicy. - Czy pani wie, że pani krwawi?

- Co?

Okrzyk przerażenia zamarł na jej ustach, gdy ponowny atak bólu zgiał jej ciało w pół. Chwyciwszy nieznaną pod rękę, Patrick ostrożnie położył ją na ziemi. Po chwili usiłowała się podnieść, ale jej na to nie pozwolił.

- Leż spokojnie - powiedział szorstko. - Nie będę mógł ci pomóc, jeśli nie będziesz współpracować.

- Nie potrzebuję pomocy - zaprotestowała, ale krzyk, który wydobył się z jej ust, zdawał się temu przeczyć.

Pochylił się nad nią, zaciskając dłonie na palcach, które wyciągnęły się w kierunku jego twarzy, jakby chciały ją podrapać.

- Chcesz umrzeć? - zawołał ze złością. - Chcesz, żeby umarło twoje dziecko?

Ciemnoniebieskie oczy w wykrzywionej bólem twarzy uważnie się w niego wpatrywały. Narastająca cisza stała się nie do zniesienia, gdy w końcu kobieta szepnęła:

- Nie.

- Doskonale. Jeśli tak, to pozwól sobie pomóc.

Po chwili wrócił do samochodu, wyjął telefon komórkowy i wybrał trzycyfrowy numer pogotowia, po czym, uzyskawszy połączenie, wyjaśnił, kim jest.

- Mam tu na plaży kobietę w zaawansowanej ciąży. Chyba będzie rodzić. Kobieta krwawi.

- Gdzie pan jest?

- Na południe od lodowca Fox, w kierunku przełęczy Haast. Mój błękitny range-rover stoi kawałek od bocznej drogi.

Rozmawiając z pogotowiem, Patrick przetrząsał samochód w poszukiwaniu potrzebnych rzeczy. Dlaczego, do diabła, nie zabrał podręcznej apteczki? Wziął kilka przedmiotów, które, jak sądził, mogą się przydać, i wrzucił je do pudła.

Nie, jeszcze nie leje. Nie, nie ma żadnych napowietrznych przewodów, tak, jest miejsce do lądowania dla helikoptera. Helikopter z Christchurch dotrze tu szybciej niż ambulans. Tak czy owak, pomoc zjawi się najwcześniej za godzinę, Patrick włączył więc światła awaryjne, które miały pełnić rolę punktów orientacyjnych, po czym biegiem ruszył w kierunku plaży.

Kobieta leżała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Jej oczy były zamknięte, a twarz śmiertelnie blada. Dotknął jej szyi, chcąc sprawdzić puls, i wtedy zaciśnięte powieki nieznanym leciutko zadrżały, po czym wolno się uniosły.

- Helikopter jest już w drodze - powiedział cicho.

Skinęła głową.

- Jak masz na imię?

- Harriet.

- Trzymaj się, Harriet. - Uśmiechnął się do niej po raz pierwszy. - Czy miałaś kolejny skurcz?

Skinęła głową i przymknęła oczy. Patrick zasepił się i uznał, że sytuacja nie jest dobra. Jeśli przyczyną krwotoku jest rzeczywiście łożysko przodujące, będzie potrzebował wiele szczęścia, by utrzymać przy życiu matkę i dziecko do chwili, gdy zjawi się pomoc. Szybko zdjął z siebie kurtkę i otulił nią górną część ciała rodzącej, po czym spróbował namówić ją na łyk wody z butelki, którą przyniósł z samochodu. Harriet pokręciła głową, ze zdumieniem patrząc, jak Patrick wyciąga z pudła ogromną butelkę whisky.

- Nie, dzięki - wymamrotała. - Nawet ja wiem, że to nie jest najlepszy pomysł, doktorze.

Bez słowa wylał sporą zawartość butelki na dłoń, następnie opłukał je wodą i osuszył czystą koszulką.

- Muszę sprawdzić rozwarcie - oświadczył, podkładając pod Harriet białą koszulę.

Po chwili wiedział, że czasu mają niewiele. W szyjce macicy z przerażeniem wyczuł maleńką stopkę. Tymczasem rozpoczął się kolejny skurcz. Zlokalizował drugą stopkę dziecka, delikatnie wsunął palec w pętlę pępowiny i przesunął ją w dół, by zapobiec rozerwaniu. Po chwili pokazała się łopátka dziecka i Patrick, przesuując dwa palce w kierunku łokcia, uwolnił maleńkie przedramię. Następnie, chwyciwszy za stawy skokowe dziecka, delikatnie je obrócił. Drugie ramię dziecka było wolne.

Patrick ciężko oddychał. Minęło wiele czasu od chwili, gdy przystąpił do akcji, wiedział jednak, że uwolnienie główki dziecka przy porodzie poślądkowym musi przebiegać możliwie najwolniej, by do minimum zmniejszyć ryzyko uszkodzenia czaszki. Wiedział również, że jak najszybciej muszą być oczyszczone drogi oddechowe dziecka, a przecież nie było przy nim ani pielęgniarki, ani właściwego sprzętu.

- Jeszcze tylko chwila, Harriet. Spisujesz się świetnie. Wkrótce obie maleńkie rączki były wolne i wraz z nowym strumieniem krwi pokazała się główka dziecka. Patrick wsunął palec w usta noworodka. Był gotów przeprowadzić odessanie za pomocą własnych ust, ale okazało się to niepotrzebne. Pod wpływem dotyku jego palca buzia dziecka otworzyła się wraz z pierwszym krzykiem zawartość jamy ustnej wydostała się na zewnątrz.

W ułamku sekundy Patrick cofnął się w nieodległą przeszłość, kiedy to z radością oczekiwał narodzin własnego dziecka. Narodzin, które nigdy nie nastąpiły. Tragiczny wypadek pozbawił życia jego brzemienną żonę i zniszczył wszystkie jego

nadzieje. Nawet nie wiedział, że łzy płyną mu po policzkach, gdy podawał niemowlę jego matce.

- Harriet? - Z trudem pokonał bolesną gulę w gardle. - To chłopiec. Chcesz wziąć go w ramiona?

Oczy kobiety były zamknięte, po policzkach płynęły łzy.

- Nie chcę brać go w ramiona - odparła szorstko. - Nie chcę go wcale.

Czuł, jak jego radość gdzieś znika. Odruchowo przytulił do siebie maleńkie ciało.

- On jest twój, Harriet - wyszeptał. - Jest taki śliczny.

- Nie chcę go! -jęknęła.

- Ale jego ojciec go chce - rzekł ze złością.

- Wątpię. - Głos Harriet był słaby i drżący. - Właściwie nawet nie wiem, kto nim jest.

Co za ulga, że mógł odwrócić się i skoncentrować na odcieciu pępownicy. Po chwili ściągnął z siebie koszulę i otulił w nią wątle ciało. Biedny malec! Urodzony na kompletnym pustkowiu, nie chciany przez nikogo. Poza nim.

Ze ściśniętym sercem umieścił tobolek w kartonowym pudełku, chroniąc go w ten sposób przed chłodną morską bryzą. Dziecko przestało płakać i wpatrywało się w niego szeroko otwartymi oczkami. Jednak teraz to jego matka potrzebowała pomocy. Biała koszula, którą Patrick podłożył jej pod biodra, była zupełnie przesiąknięta krwią. Jeśli po wyjściu łożyska krwotok nie ustanie, życie Harriet znajdzie się w niebezpieczeństwie. To nie jego interes, jak do tej sytuacji doszło i co się stanie z tym dzieckiem.

Cholera! Wszystko wskazuje na to, że to jest jednak jego interes. Po urodzeniu łożyska Harriet krwawiła i zaczynała tracić przytomność. Patrick wsunął dłoń do środka, zacisnął ją

w pięść i napierając drugą ręką na powłokę brzusznią, poprzez ucisk macicy usiłował powstrzymać krwotok. Wtedy jak przez mgłę usłyszał warkot nadlatującego helikoptera i zdał sobie sprawę, że jego udział w przyjsciu na świat tego dziecka zbliża się do końca.

Sanitariusze, którzy wkrótce pojawili się przy nich, błyskawicznie przystąpili do akcji. Gdy podłączonymi do Harriet przewodami popłynęła życiodajna krew i gdy po chwili układano ją na noszach, Patrick odwrócił się w stronę kartonowego pudełka. Ktoś podał mu jego kurtkę.

- Niech pan to włoży, doktorze. Musiał pan nieźle zmarznąć.
- Nagle brwi sanitariusza uniosły się ze zdziwienia. - Cóż to za okropna blizna, kolego? Co się stało?

Patrick doskonale wiedział, że mężczyzna pyta o biegnącą przez jego klatkę piersiową zygzakowatą szramę.

- To stara historia - odrzekł wymijająco. - Jak widać, przeżyłem.

- Miał pan dużo szczęścia. - Sanitariusz schylił się po kartonowe pudło. - Tych dwoje też miało szczęście. Bez pana z pewnością by nie przeżyli.

Patrick w milczeniu obserwował, jak sanitariusze transportują nosze do helikoptera. Wtedy, kiedy uratował się z wypadku, wcale nie uważał tego za szczęście i musiało minąć wiele czasu, by przestał tak myśleć. Ciekawe, co będzie czuła Harriet, kiedy wyzdrowieje. Co będzie kiedyś czuło jej dziecko?

Nadal spokojnie leżało w pudełku i wciąż miało otwarte oczy. Patrick chciał coś dla niego zrobić, aby wiedziało, że był ktoś, komu na nim zależało. Nic jednak nie przyszło mu do głowy, pozbierał więc swoje rzeczy i zaniósł je do samochodu. Gdy wrócił, helikopter był już prawie gotowy do startu. Karto-

nowe pudełko powędrowało do góry w kierunku wyciągniętych rąk kogoś z obsługi.

- Chwileczkę! - zawołał Patrick. Biegając do helikoptera, zsunął z palca obrączkę. - Chciałbym się pożegnać - wyjaśnił, pochylając się nad dzieckiem.

- Chyba mamy pańskie nazwisko?

Śmigła helikoptera kręciły się coraz szybciej. Patrick odsunął się i drzwi zostały zamknięte. Nazwisko. Jakie to może mieć znaczenie, pomyślał. Drogi moje i tego dziecka nigdy się już przecież nie zejdą.

Uśmiechnął się do siebie, obserwując, jak światła helikoptera powoli giną na ciemniejącym niebie. Kiedy pochylał się nad dzieckiem i w pożegnalnym geście gładził jego policzek, szybko wsunął obrączkę w fałdy koszuli, w którą maluch był zawinięty. Nie był w stanie ofiarować mu niczego ze swojej przyszłości. Ta obrączka symbolizowała jego przeszłość: utraconą na zawsze miłość i dziecko, które nigdy nie przyszło na świat.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Mamusiu, mamusiu!

Harriet McKinlay przykucnęła i rozłożyła ramiona. Freddie, jej niespełna trzyletni synek, biegł w jej kierunku z szybkością, przy której utrzymanie równowagi zdawało się graniczyć z cudem.

- Muszę już iść, kochanie.

- Dlaczego?

- Mamusia zaczyna dziś nową pracę.

- Dlaczego?

Dobre pytanie, pomyślała. Dlaczego rezygnowała z możliwości spędzania czasu z synem i obserwowania, jak się rozwija i rośnie? Freddie z pewnością nie zrozumie finansowych powodów jej decyzji.

- Ponieważ to bardzo ważna praca, kochanie. Będę się opiekowała ludźmi, którzy nie mogą chodzić, a co dopiero biegać tak jak ty. Jestem pielęgniarką, synku, i lubię swoją pracę.

- Dlaczego?

Nielatwo jest prowadzić tę rozmowę, ale jak można się denerwować, gdy powtarzane jak katarynka pytanie zadaje taki uroczy mały człowieczek? Przesunęła dłonią po ciemnych włosach synka i po raz kolejny ucałowała jego zadarty nosek.

- Dziadek zaprowadzi cię później do dzieci, z którymi bę-

dziesz mógł się pobawić, a ja odbiorę cię po południu, kiedy skończę pracę.

- To prawda, Freddie - rzekł starszy mężczyzna, zatrzymując się przy nich. - Chodź, zrobię ci na śniadanie naleśniki.

- Dlaczego, dziadku?

- Dlatego, że je lubisz.

Harriet podniosła się, poprawiła bluzkę i strzepnęła jakiś niewidoczny pyłek ze spodni.

- Czy dobrze wyglądam, tatusiu?

John Peterson z czułością spojrział na córkę i mocno ją przytulił. Dzięki Bogu, znowu wyglądała jak niegdyś. Podczas tych strasznych miesięcy, przed i po urodzeniu Freddiego, stracił już nadzieję, że kiedykolwiek wróci jej radość życia.

- Wyglądasz wspaniale - powiedział z dumą.

- Jesteś pewien, że dasz sobie radę? Żeby zawieźć Freddiego w drodze do pracy, musisz nieźle nadłożyć drogi.

John uspokajająco poklepał Harriet po ramieniu.

- To dla mnie żaden problem. Powiedziałem ci przecież, że jestem szczęśliwy, kiedy mogę ci pomóc. Szkoda tylko, że nie mogę zrobić więcej.

Harriet mocno przytuliła się do ojca.

- Zrobiłeś i tak bardzo wiele. Dobrze wiesz, że bez ciebie nie poradziłabym sobie. - Wsunęła się z jego objęć i nerwowo wciągnęła powietrze. - Mam nadzieję, że teraz dam sobie radę.

- Nie mam wątpliwości. To przecież twoja dawna praca.

- Minęły jednak prawie trzy lata. Wyszłam z wprawy.

- Myślę, że te noce, które spędzałaś przez ostatnie pół roku na intensywnej terapii, były dla ciebie niezłą szkołą. Poza tym, jak twierdzi Charlie, zawsze byłaś najlepsza.

- Charlie wyjechał za granicę. Szefem jest teraz nowy specjalista od urazów kręgosłupa. Nawet go nie widziałam.
- Przecież nie cały personel się zmienił.
- To prawda. To chyba jedyny lekarz, którego nie znam
- rozpogodziła się Harriet. - W końcu, ileż to czasu spędzam z lekarzami? Ross Williams musiał chcieć mojego powrotu. Podczas rozmowy był do mnie bardzo życzliwie nastawiony.
- A więc nie znasz jeszcze nowego szefa?
- Nie. Nazywa się Patrick Miller i rzeczywiście nie znam go jeszcze. Wyjechał na konferencję, ale Ross powiedział, że mój życiorys zrobił na nim wrażenie. - Spojrzała na zegarek.
- Muszę już iść, tatusiu. Nie chcę się spóźnić.
- Wszystko będzie dobrze.
- Jeszcze tylko pocałuję Freddiego. Och, nie! Ten urwis zdążył już odkręcić kran w ogrodzie. Jest zupełnie mokry.
- Ja to załatwię. - John popchnął córkę w kierunku samochodu. - Idź już, i powodzenia!
- Dzięki.

Harriet pomachała ręką i przesłała synkowi całusa. Nie mogła ryzykować, że błoto, którym zdążył się już ubrudzić, znajdzie się również i na jej ubraniu.

W szpitalu Coronation wszystko było jak dawniej. Kiedy Harriet minęła główne wejście do centrum urazów kręgosłupa, nagle ożyły w niej wspomnienia. Tu przeżyła wiele wspaniałych chwil, ale dramatycznych przeżyć też było wiele. Powtarzała sobie, że musi o wszystkim zapomnieć. To był jej nowy start i nie chciała mieć żadnych obciążeń.

Szła znajomymi korytarzami, mijając część szpitala przeznaczoną dla tych pacjentów, którzy przed wyjściem do domu prze-

bywali na rehabilitacji, następnie główny oddział dla chorych przewożonych z izby przyjęć, po czym udała się w kierunku intensywnej terapii, gdzie stało sześć łóżek. Od dziś tu właśnie miała pracować.

Doświadczenie, które zdobyła odbywając praktykę na OIOM-ie w szpitalu Christchurch, dokąd kierowano cięższe przypadki, utwierdziło ją w przekonaniu, że opieka nad najciężej chorymi była jej przeznaczeniem, pod warunkiem jednak, że potrafi oddzielić życie zawodowe od prywatnego. Musi pamiętać, do czego prowadzi zbyt wielkie angażowanie w sprawy pacjentów. Znowu wróciły bolesne wspomnienia i Harriet pokręciła głową, jakby w ten sposób chciała się przed nimi obronić. W pewnej chwili usłyszała za sobą odgłos kroków i odwróciła się, słysząc swe imię.

- Harry! Przypuszczałam, że to ty. Obcięłaś włosy?
- Sue! - Harriet uśmiechnęła się szeroko. - To wspaniale znowu cię widzieć. Tak, rzeczywiście obcięłam.
- Dlaczego? - jęknęła koleżanka. - Były takie wspaniałe!
- Jednak o wiele za długie i bardzo kłopotliwe. - Harriet wsunęła za ucho małeńki kosmyk. - Poza tym wcale nie są takie krótkie. Rozpuszczone sięgają prawie do ramion. Upięłam je, sądząc, że w ten sposób będę wyglądała bardziej fachowo. - Uśmiechnęła się, widząc minę przyjaciółki. - Chciałabym wszystko zacząć od nowa. Nowa praca, nowy styl, rozumiesz, prawda?

Sue skinęła głową i serdecznie objęła przyjaciółkę.-

- Ogromnie się cieszę, że otrzymałaś tę pracę.
- Naprawdę? - Harriet spojrzała na nią z niepokojem. - Trochę się martwiłam. Nie wiedziałam ... Powiedz, czy starałaś się o to stanowisko?

- Nie. - Sue roześmiała się. - Szczerze mówiąc, wolę wypełniać polecenia, niż je wydawać. Poza tym nie mam takiego jak ty przygotowania. Wychowywanie dzieci zbyt mocno mnie angażuje i nie mam zamiaru pracować więcej niż trzy dni w tygodniu.

Harriet skinęła głową z wyraźną ulgą. Sue była od niej młodszą jedynie o rok, a miała już troje dzieci.

- Jak sobie z nimi radzisz, kiedy jesteś w pracy?

- Dwoje chodzi już do szkoły, co w znacznym stopniu rozwiązało problem - wyjaśniła Sue. - Richard zajmuje się nimi rano w te dni, kiedy ja jestem w pracy, a moja mama opiekuje się Joe'em. A ty co robisz z synkiem?

- Załatwiłam przedszkole i mam nadzieję, że Freddie je polubi. Do tej pory sama się nim zajmowałam, a kiedy miałam nocne dyżury w Christchurch, opiekował się nim mój tata.

- Nie martw się, na pewno się przyzwyczai - zapewniła ją Sue. - Będzie tam przecież z rówieśnikami. A jaki jest twój tata?

- Cudowny - uśmiechnęła się Harriet. - Chyba jest za dobry. Czuję się winna, że musiał zająć się mną, kiedy Freddie się urodził. Między innymi właśnie dlatego zdecydowałam się podjąć pracę. Najwyższy czas, żeby wszystko wróciło do normy.

Sue skinęła głową.

- Bardzo się cieszę, Harry, i... chciałam cię przeprosić, że jakoś urwały się nasze kontakty po śmierci Martina. Przyznam, że nie bardzo wiedziałam, jak się zachować i co powiedzieć. To takie trudne. Poza tym miałam już wtedy dwoje dzieci, a trzecie było w drodze. I... miałam męża. Moje życie przy twoim wydawało się tak nieprzyzwoicie szczęśliwe. Potem urodził się Freddie, a ty nie chciałaś się z nikim widywać.

- Wiem, - Harriet skrzywiła się. - Byłam wtedy wrakiem człowieka. Nie chcę do tego wracać. Czy uwierzysz, że wtedy nie chciałam nawet Freddiego? - Roześmiała się nerwowo. - Tak czy owak, przepraszam, że dotknęło to również ciebie. Musimy to teraz nadrobić. Och, czy to Peter? - zerknęła do środka czteroosobowego pokoju.

Wysoki brodaty mężczyzna w stroju pielęgniarza stał przy pacjencie, który usiłował samodzielnie przenieść się ze szpitalnego łóżka na fotel na kółkach. Peter zauważył Harriet i pomachał jej ręką. Harriet pomachała mu również.

- Znasz większość personelu - rzekła Sue. - Minęło tylko parę lat i w tym czasie niewiele się zmieniło. A oto i twoje stanowisko.

Na biurku leżała już sterta papierów do przejrzania i niecierpliwie dzwonił telefon, ale nieoczekiwanie umilkł, gdy Harriet wyciągnęła rękę, aby podnieść słuchawkę.

- Jeszcze jeden powód, dla którego nie chciałam tej pracy. A ty jesteś pewna, że dobrze zrobiłaś, przyjmując ją?

Harriet spojrzała przez szklaną ścianę na łóżka pacjentów i podłączoną do nich aparaturę, na Petera, który zachęcał siedzącego na wózku, chorego, by wjechał do pomieszczenia z prysznicami, widziała krzątający się wokół codziennych spraw personel, czuła towarzyszącą tej krzątaniu atmosferę serdecznej troski.

Wyrzuty sumienia, że zostawiła synka pod cudzą opieką, nie były już tak dokuczliwe. Od tej pory część jej życia, bardzo znacząca część, związana będzie z tym miejscem.

- Tak, Sue - rzekła spokojnie. - Jestem tego pewna. Nadspodziewanie szybko wpasowała się w tryby funkcjonowania szpitala, z którego odeszła przed paroma laty. Obawy, że

wrócą bolesne wspomnienia, nie sprawdziły się. Urazy, z którymi miała tu do czynienia, były takie jak kiedyś. Ludzie dalej doznawali uszkodzeń kręgosłupa podczas upadków, skoków do zbyt płytkiej wody, w wypadkach motocyklowych i samochodowych, czasami w wyniku postrzału lub pchnięcia nożem. U pacjentów wciąż wykrywano te same guzy kręgosłupa i te same choroby zwyrodnieniowe, te same komplikacje w funkcjonowaniu pęcherza, odleżyny i bolesność związaną z nienaturalnym skurczem mięśni.

Reakcje pacjentów też łatwo było przewidzieć: na początku złość, smutek, lęk i depresja, potem determinacja, odwaga i satysfakcja z odnoszonych sukcesów. Zmieniły się jedynie twarze chorych i kryjące się za nimi dramaty. Nowi ludzie, nowe przypadki i nowa szansa dla Harriet, żeby zaoferować pacjentom to, co najlepiej potrafi: fachową opiekę, bezinteresowną życzliwość i konsekwentne zachęcanie do wysiłku oraz prawdziwą troskę o efekty.

Oczywiście, nie wszystkie twarze były nowe. Zdawała sobie sprawę, że na oddziale rehabilitacyjnym z pewnością spotka swych starych pacjentów, ale nie była jeszcze gotowa na taki powrót do przeszłości. Wiedziała, że w końcu tego nie uniknie, ale gdy ta chwila nadeszła, miała wiele wątpliwości, jak powinna się zachować.

Weszła do sali numer pięć, by przedstawić się pani Palmer i dodać jej odwagi przed czekającą ją operacją. Sześćdziesięciodwuletnia kobieta przewróciła się, wychodząc spod prysznicza, i uderzyła twarzą o brzeg wanny. W wyniku upadku doznała złamania nosa, licznych potłuczeń i, co okazało się znacznie poważniejsze, złamania zęba kręgu obrotowego. Kilka tygodni na wyciągu nie przyniosło spodziewanych efek-

tów. I teraz pani Palmer musiała się poddać zabiegowi operacyjnemu.

Wychodząc od pani Palmer, Harriet nie miała zamiaru zatrzymywać się przy szóstce. Zwolniła kroku, chcąc się przywitać z inną pielęgniarką, i wtedy jej wzrok padł na wiszącą na oparciu łóżka kartę z nazwiskiem pacjenta i historią choroby. Jack Lancaster przed pięciu laty doznał porażenia kończyn dolnych i Harriet opiekowała się nim, kiedy trafił do szpitala. Jack i mąż Harriet, Martin, bardzo się zaprzyjaźnili od czasu, gdy razem przebywali na rehabilitacji. Po raz ostatni Harriet widziała go na pogrzebie Martina. Odetchnęła głęboko i uniosła do góry głowę. Musi sprostać temu wyzwaniu.

- Jack, cudownie znowu cię widzieć. Czy to prawda, że w ubiegłym roku znowu zacząłeś uczyć?

- Ale z rugby musiałem, niestety, zrezygnować. - Jack uśmiechnął się szeroko. - Nie miałem pojęcia, że wróciłaś, Harry. Wszystko się chyba jakoś ułożyło.

- Rzeczywiście. - Uśmiechnęła się również, ale w jej głosie była zaduma, toteż Jack spojrzał na nią uważnie.

- Nie sądziłem, że wrócisz, po tym jak Martin... - Dotknął jej ręki. - Ja bardzo się z tego cieszę, i pewnie nie tylko ja.

- Dzięki, Jack. - Ścisnęła lekko jego palce. - Ja również nie sądziłam... - Zadrżała. - Myślę, że...

- Że życie idzie dalej - dokończył Jack. - Jeśli nie wsiądziemy do autobusu, nie dowiemy się, co nas czeka na następnym przystanku.

Harriet roześmiała się.

- To prawda. Dlatego wróciłam. Żeby czerpać optymizm z kontaktów z ludźmi takimi jak ty. Teraz muszę iść do moich obowiązków. Wpadnę do ciebie trochę później.

Na razie z sześciu łóżek tylko dwa były zajęte.

- Wiozą do nas pacjenta z wybrzeża - oznajmił Peter. - To młody robotnik pracujący przy wycince lasu. Padające drzewo uderzyło go w plecy. Według sanitariuszy dwa kręgi szyjne są poważnie uszkodzone.

- Czy zabrali go bezpośrednio z miejsca wypadku?

Peter skinął głową.

- Położyli go na specjalnej desce obłożonej woreczkami z piaskiem, ale musieli dojść do helikoptera, który stał dość daleko. Myślę, że dotrą tu nie wcześniej niż za dwie godziny. Będziesz musiała pokierować zespołem pielęgniarek.

Harriet z trudem przełknęła ślinę.

- Będę gotowa.

Wszystko wskazywało na to, że już wkrótce przekona się, czy jej powrót do pracy był rzeczywiście dobrym pomysłem. Teraz musiała się zająć innymi pacjentami. Szczególny niepokój budził w niej stan Thomasa Carra.

Przebywał na oddziale od trzech dni. Zapis jego czynności oddechowych nie wyglądał najlepiej. Wprawdzie nie było jeszcze powodu do alarmu, ale anestezjolog i konsultant oddziałowy, Ross Williams, zalecili, by na bieżąco śledzić i analizować wszelkie zmiany w zapisie i przed udaniem się do sali operacyjnej pobrali do badania próbkę krwi tętnicznej chorego. Młoda chirurga stażystka, Zoe Pearson, stała przy łóżku Thomasa i z niepokojem patrzyła na ekran monitora.

- Jak myślisz, czy doktor Williams mógł już wyjść z operacyjnej? - zapytała wchodzącą do pokoju Harriet.

- Przecież operacja nawet się nie zaczęła, Zoe. Pacjent dalej jest na oddziale. - Harriet podeszła do chorego i z łagodnym uśmiechem wyciągnęła rękę, by zbadać jego puls.

- Zaraz zobaczymy, co się dzieje, Tom.
- Myślę, że powinniśmy zrobić rentgen klatki piersiowej i może EKG - dodała wyraźnie zdenerwowana Zoe.
- Dobrze - zgodziła się Harriet, z niepokojem obserwując rosnące tętno i częstość oddechów chorego.

Obrażenia młodego człowieka były poważne. Podczas zawodów motocyklowych maszynie Toma nie udało się pokonać stromego błotnistej zbrocza i chłopak został wyrzucony na tor innego zawodnika, który również stracił panowanie nad motocyklem. Tom doznał uszkodzenia kręgosłupa poniżej kręgu szyjnego i w jego wyniku porażenia wszystkich kończyn. W tej sytuacji istniało duże ryzyko zatoru płucnego, co w fazie ostrej najczęściej stanowiło przyczynę zgonu.

Nawet gdyby oddech Toma nie budził większych obaw, to istniało niebezpieczeństwo wystąpienia pourazowego obrzęku rdzenia kręgowego i gwałtownego pogorszenia czynności oddechowych. Porażenna niedrożność jelita powodowała rozcięcie brzucha, co utrudniało oddychanie, a częściowe porażenie przepony sprawiało, że osadzenie flegmy mogło wywołać komplikacje. Harriet obserwowała już pierwsze objawy zacinania. Wiedziała, że niedawno wzywano fizjoterapeutę, by rozrzedził śluz i usunął go z dróg oddechowych. Wiedziała również, że stan Thomasa Carra się pogarsza. Jego powieki nagle zadrżały i opadły, a klatka piersiowa gwałtownie zaczęła wznosić się i opadać, oddech stał się nierówny, aż w końcu zamarł.

- Zoe, podaj przewód. - Harriet zwiększyła przepływ tlenu do maksimum.

- Gdzie on jest? - Lekarka odwróciła się gwałtownie, a karta choroby Toma i stetoskop znalazły się na podłodze. - Lepiej zawołam doktora Williamsa.

- Nie ma na to czasu. - Harriet złapała przewód ze stojącego obok wózka i podłączyła go do chorego, zanim Zoe zdążyła podnieść stetoskop i stanąć przy niej. Widząc, jak młodą koleżankę ogarnia panika, pomyślała, że zapewne jest to pierwszy w jej życiu taki przypadek.

- Tom potrzebuje wewnątrztrzewiczej intubacji i przewietrzania płuc. - Harriet mocno ścisnęła worek Ambu, ale nie wyczuła oporu. - To wygląda na zaczopowanie oskrzeli śluzem. Musimy jak najszybciej je udroźnić. - Ponownie ścisnęła aparat i zdecydowanym tonem powiedziała; - Wózek stoi za panią, doktor Pearson. Potrzebuje pani laryngoskopu, dziewięciomilimetrowej rurki, strzykawki o pojemności dziesięciu centymetrów i sztywnego intubatora.

- Ale ja nie potrafię! - wykrztusiła Zoe. - Ja nigdy...
Urwała nagle, odepchnięta przez mężczyznę, który bez słowa przysunął do siebie wózek i wziął do ręki laryngoskop. Peter stanął tuż za nim.

- Sprawdź aparat do ssania, Peter, a pani, siostró, już dziękuję.

Mężczyzna, nie patrząc na Harriet, zajął miejsce przy chorym. Ułożył głowę Toma we właściwej pozycji, wyjął z jego ust rurkę i wsunął na jej miejsce laryngoskop. Harriet podała mu strzykawkę, a on przyjął ją bez słowa, skupiony na czynności, którą miał wykonać. Harriet wycofała się, gdy Peter podszedł z rurą do ssania. Gdy mężczyzna zażądał stetoskopu, Zoe mu go podała. Jej twarz była kredowobłada.

Po chwili zjawił się Ross Williams i Harriet wiedziała, że operacja pani Palmer zostanie przełożona do czasu, aż konsultant ustabilizuje stan Toma.

Harriet mogła się teraz zająć Elsie Wilkinson. Chociaż usta-

wienie łóżek na oddziale zapewniało pacjentom maksimum prywatności, to jednak Elsie doskonale wiedziała, że Tom ma kłopoty.

- Czy on wyzdrowieje? - zapytała, kiedy Harriet podeszła do jej łóżka.

- Wszystko jest już pod kontrolą - z uśmiechem odrzekła Harriet, pomagając pacjentce zmienić pozycję.

Po upadku z konia Elsie została poprzedniego dnia przyjęta na OIOM, jednak jej stan wyraźnie już się poprawił i istniała duża szansa, że jeszcze dziś zostanie przeniesiona na normalny oddział. Dobry nastrój Harriet nie miał jednak nic wspólnego z tą tak optymistyczną dla pacjentki prognozą.

Udział w akcji ratowania życia Thomasa Carra sprawił, że napięcie, które towarzyszyło Harriet w pierwszych chwilach pracy, w końcu zniknęło. W porównaniu z biedną Zoe Pearson Harriet mogła być z siebie dumna. Czuła, że jej wiedza i doświadczenie są wystarczające, by w każdej sytuacji dać sobie radę.

Wciąż uśmiechając się, wróciła do małego pomieszczenia, gdzie stało łóżko Toma. Teraz mogła wreszcie przyjrzeć się człowiekowi, który tak skutecznie opanował groźną sytuację.

Stał przy Tomie ze wzrokiem utkwionym w aparacie do wentylacji i głową lekko pochyloną do mówiącego coś Rossa Williamsa. Harriet pomyślała, że to najprawdopodobniej konsultant, który przyszedł obejrzeć jakiegoś chorego i widząc, co się dzieje, podjął interwencję. Wyglądał na jakieś czterdzieści lat, chociaż w jego włosach nie dostrzegła nawet śladu siwizny. Miał na sobie elegancką marynarkę z tweedu i jasne, znakomicie dopasowane spodnie, które podkreślały jego szczupłą sylwetkę. Z pewnością nie był to mężczyzna, którego widok mógłby zwa-

lic z nóg, ale bezsprzecznie coś w nim było. Coś dziwnie znajomego.

Harriet przesunęła na bok niepotrzebny już wózek i pozbięrała porozrzucane opakowania. Wciąż jednak nie mogła pozbyć się natrętnej myśli, że musiała już tego mężczyznę gdzieś spotkać, ale gdzie i kiedy, nie miała zielonego pojęcia. Zwolniła kroku i ponownie się obejrzała.

Tym razem ich spojrzenia się spotkały. Odniosła wrażenie, że on również szuka czegoś w pamięci, i że wcale to nie jest dla niego przyjemne. Nagle poczuła się niewyraźnie. Pchając przed sobą wózek, szybko ruszyła do pomieszczenia gospodarczego. Widząc porządkującą górę poduszek Sue, ruchem głowy wskazała mężczyznę.

- Kto to? - szepnęła.
- Nie poznałaś jeszcze Paddy'ego? - zawołała ze zdumieniem Sue.
- Paddy?
- Patrick Miller. Nasz specjalista od chorób kręgosłupa i szef oddziału. - Sue chwyciła Harriet za rękę. - Chodź, dawno już ktoś powinien był cię przedstawić.

Harriet podążyła za nią. A więc nie jest to ktoś, kogo zna. Nic więc dziwnego, że patrzył na nią podejrzliwie, znając jej kwalifikacje jedynie z przedstawionego przez nią życiorysu i tego, co o niej słyszał.

- Paddy? To jest Harriet McKinlay, nowa szefowa pielęgniarek. - Sue uśmiechnęła się. - Harriet, to Patrick Miller. - Harriet uśmiechnęła się również i wyciągnęła rękę.

Wahanie, z jakim podał jej dłoń, wyraźnie ją speszyło, a spojrzenie brązowych oczu, chłodne i nieufne, dopełniło reszty.

- Harry właśnie dziś zaczęła pracę i od razu przeszła niezły chrzest, ratując Toma - wyjaśniła Sue, jakby nie dostrzegając dziwnego zachowania szefa.

- I chyba poradziła sobie doskonale. - Ton głosu doktora Millera był wyważony: nie chłodny, ale z pewnością i nie za ciepły. - Tylko tym, mam nadzieję, można wytłumaczyć, dlaczego zapomniała o naszym spotkaniu o dziesiątej.

- Spotkaniu? - zdumiała się Harriet. - Bardzo mi przykro, ale nic nie wiem o żadnym spotkaniu.

- Zostawiłem wczoraj wiadomość na pani biurku.

- Och, to wszystko wyjaśnia. - Harriet uśmiechnęła się. - Proszę o wybaczenie, ale właściwie nie zdążyłam jeszcze dotrzeć do biurka. Może mogłabym naprawić swoje uchybienie, proponując panu filiżankę kawy i trochę czasu teraz.

Patrick Miller uśmiechnął się również, ale z jego oczu bił ten sam co uprzednio chłód.

- Niestety, muszę wracać do sali operacyjnej. Pani Palmer już zbyt długo czeka. Poza tym zawiadomiono nas o nagłym przypadku. Pacjent jest już w drodze. Chcielibyśmy skończyć, zanim przybędzie.

- Oczywiście. - Harriet była zdecydowana zrobić wszystko, by złe wrażenie, jakie wywarła na tym mężczyźnie, jak najszybciej zostało zatarte. - A więc kiedy indziej. Będę do dyspozycji. - Spojrzała na niego z nadzieją. - Najważniejsze, że jednak się poznaliśmy.

- To prawda. - Uśmiech nagle zniknął z jego twarzy. - Wreszcie się poznaliśmy.

Harriet mogła go nie pamiętać, jednak Patrick pamiętał ją doskonale. Teraz wyglądała zupełnie inaczej. Miała włosy ze-

brane do tyłu, zniknęły gdzieś strach i gniew. Uderzał jej spokój i pewność siebie, jak również wyjątkowa kompetencja, sądząc po jej reakcji na nagłe ustanie czynności oddechowych Toma. Zaskoczyło go również, jak bardzo atrakcyjną okazała się kobieta.

Nie ulega wątpliwości, że jest atrakcyjna, pomyślał, starannie myjąc dłonie. Ilu mężczyzn tak uważało, i ilu miało okazję o tym się przekonać? Pewnie wielu. Moralność tej kobiety pozostawia wiele do życzenia. Sama przecież przyznała, że nie ma pojęcia, kto jest ojcem jej dziecka.

Mimo iż od tamtego dnia minęły już prawie trzy lata, nie mógł o tym dziecku zapomnieć. Czy jest kochane? Czy przechowuje ktoś obrączkę na pamiątkę jego niezwykłego przyjścia na świat? Patrick sięgnął po sterylny ręcznik, wytarł dłonie i wciągnął rękawiczki.

Wiedział, że matka chłopca przeżyła. Usłyszał o tym tego samego dnia w wieczornym dzienniku radiowym, w którym nadano relację z akcji ratunkowej. Stan kobiety oceniono jako zadowolający. Nie ujawniono wtedy jej nazwiska, ponieważ nie skontaktowano się jeszcze z najbliższą rodziną. Wspomniano również o roli, jaką w tym dramacie odegrał anonimowy lekarz, który dziwnym zrzędzeniem losu znalazł się akurat w tym samym miejscu. W zarejestrowanej na taśmie rozmowie telefonicznej w chwili, gdy nieznajomy podawał swoje nazwisko, rozległy się trzaski. Proszono go więc, by w sprawie podjętej interwencji skontaktował się z miejscową policją.

Jednakże Patrick był zadowolony ze swej anonimowości i chociaż bardzo pragnął dowiedzieć się czegoś o dziecku, postanowił się nie ujawniać. To nie była jego sprawa, nawet jeśli pożegnalny prezent i sam incydent znacząco wpłynął na jego

życie. Patrick odwrócił się, tak żeby pielęgniarka mogła zawiązać tasiemki włożonego przed chwilą fartucha chirurga, i pokręcił głową. Nigdy by nie przypuszczał, że ich ścieżki kiedykolwiek znowu się spotkają, a już z pewnością, że ta kobieta okaże się wysokokwalifikowaną pielęgniarką, i do tego w jego własnej specjalności. Być może w takiej sytuacji powinien zapamiętać o swoich wszystkich wobec niej zastrzeżeniach.

Nie mógł jednak uwolnić się od myśli, iż wiele by dał za wiadomość, co naprawdę dzieje się z jej synem.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Harriet spodziewała się, oczywiście, że powrót do pracy w szpitalu obudzi w niej dawne wspomnienia, i wiedziała, jak się z tym uporać. Dała więc sobie radę ze spotkaniem pacjenta, który bardzo przypominał jej chorobę Martina i wszystkie wynikające z niej komplikacje. To jednak, co się stało, gdy czekała na lądujący w pobliżu szpitala helikopter, było dla niej prawdziwym wstrząsem.

Stała wraz ze szpitalną ekipą i patrzyła na kołującą czerwono-żółtą maszynę i nieoczekiwanie dawny koszmar, związany z narodzinami syna, znowu wrócił. Hałas, nieznośna wibracja, ból i widok jej własnej krwi. I ta przerażająca świadomość, że umiera. To wszystko, co się wtedy zdarzyło, stało się czymś w rodzaju czarnej dziury, rozjaśnianej jedynie jakimiś mglistymi strzępami bolesnych wspomnień. Musiało minąć wiele czasu, zanim zdała sobie sprawę, ile miała wtedy szczęścia.

Teraz znalazła się po drugiej stronie sceny. Odruchowo pochyliła głowę, podchodząc do helikoptera, którego śmigła nie zdążyły się jeszcze zatrzymać. Razem z Rossem Williamsem, Peterem i sanitariuszami pomogła przetransportować ofiarę wypadku, dwudziestotrzyletniego Blake'a Donaldsona. Nagle uświadomiła sobie, że helikopter przyleciał z zachodniego wybrzeża, skąd kiedyś zabrano również i ją. Ile jeszcze w tym dniu czeka ją wiążących się z przeszłością niespodzianek?

Nie było jednak czasu na zastanawianie. Biegła tuż przy noszach, trzymając w górze butlę z płynem dożylnym. W izbie przyjęć czekał już na nich zespół lekarzy i personel pomocniczy. Harriet szybko wydała dyspozycje pielęgniarce, po czym, razem z Sue, zaczęła ostrożnie zdejmować z pacjenta ubranie, podczas gdy Peter podłączał EKG i rękaw do mierzenia ciśnienia do monitora rejestrującego czynności życiowe. Zarówno ciśnienie krwi, jak i częstość akcji serca Blake'a były niskie, co zwykle występuje przy licznych urazach kręgosłupa, ale może również wskazywać na obrażenia wewnętrzne i wewnętrzny krwotok. David Long sprawdzał drogi oddechowe pacjenta.

Jeden z sanitariuszy, który pomógł wnieść Blake'a do środka, przekazywał doktorowi Williamsowi informacje.

- Pacjent wypił tylko filiżankę kawy o szóstej rano, więc cewnikowanie nie jest chyba niezbędne. - Schylił się i podniósł z podłogi koc termiczny. - Na wybrzeżu było bardzo zimno i zanim dotarliśmy, pacjent był już bardzo wychłodzony.

Harriet spojrzała na ekran monitora: wykazywał normalną temperaturę ciała. Koc termiczny spełnił swą rolę. Normalne reakcje ciała na zmiany temperatury ulegają w przypadku poważnych urazów kręgosłupa zaburzeniom i organizm usiłuje dostosować własną temperaturę do temperatury otoczenia.

Ross Williams pochylił się nad pacjentem.

- Cześć, Blake. Jestem doktor Williams, a to jest doktor Long. Obejrzymy cię teraz dokładnie, żeby ustalić, jakich doznałeś obrażeń. Czy pamiętasz, jak doszło do wypadku?

Blake najwyraźniej chciał skinąć głową, ale nie pozwoliły mu na to biegnące przez czoło pasy umocowane do podpory szyi. David błyskawicznie położył dłonie na skroniach Blake'a.

- Nie ruszaj głową, przyjacielu. Nawet nie próbuj. - Zdjął

z twarzy mężczyzny maskę tlenową. - Przez chwilę będzie ci łatwiej mówić.

- Czy straciłeś przytomność? - dopytywał Ross.

- Nie. Pamiętam wszystko - z trudem powiedział Blake.

- Kiedy drzewo, które ścinaliśmy, runęło na ziemię, ogromna gałąź złamała się, odbiła i uderzyła mnie w plecy.

- W które miejsce cię uderzyła, pamiętasz?

Peter i Sue wycofali się. Przysunięto aparat rentgenowski i Harriet również się cofnęła. Stała obok jednego z sanitariuszy, tuż obok wyjścia, i obserwowała, jak David wprowadza igłę strzykawki w przewód dożylny. Musiał to robić z ogromną ostrożnością, ponieważ przy urazach kręgosłupa przedawkowanie środków przeciwbólowych może wywołać groźne komplikacje. Harriet drgnęła, słysząc za sobą jakiś głos.

- Jeśli to nie zawody sportowe, to może mnie przepuściecie?

Zarówno Harriet, jak i sanitariusz odsunęli się bez słowa

i Patrick szybko ich minął. Sanitariusz uniósł do góry brwi.

- Zwyczajne „przepraszam” byłoby tu bardziej na miejscu

- mruknął pod nosem.

Harriet przyznała mu w myślach rację. Wiedziała, że już za chwilę ich obecność okaże się niezbędna. Pacjenta nie można ruszyć z noszy, dopóki nie zrobi się prześwietlenia i nie przeprowadzi wstępnych badań.

- Harriet? Jesteśmy gotowi do odwrócenia pacjenta.

Harriet posypała talkiem przedramiona i dłonie Petera oraz

Sue, by zminimalizować tarcie przy zetknięciu ze skórą Blake'a.

Peter zajął miejsce między Sue a sanitariuszem, biorąc na siebie odpowiedzialność za środkową partię ciała pacjenta. David Long ustawił się przy głowie Blake'a, Harriet stanęła po drugiej stronie. Jej zadaniem było koordynowanie ruchów rąk całej

ekipy. Peter wsunął jedno przedramię pod uda Blake'a, drugim objął go w tali.

- Uwaga, podnosimy na trzy - poinstruował David. - Raz, dwa... trzy!

Obrót był doskonale skoordynowany. Blake leżał już na boku, podparty kilkoma parami rąk, a jego plecy można było wreszcie poddać dokładnym oględzinom.

- Gałąź uderzyła pod kątem w lewą łopatkę - zauważył Ross. - Największe obrażenia wystąpiły w rejonie kręgow szyjnych.

Patrick ostrożnie wodził palcami po górnej części kręgosłupa Blake'a.

- Powiększona szczelina między szóstym a siódmym kręgiem szyjnym - stwierdził.

Blake jęknął głucho.

- Wybacz, kolego - przeprosił go Patrick. - Wytrzymaj jeszcze chwilę. Postaramy się zrobić to jak najszybciej.

Harriet spojrzała na niego ze zdumieniem. Ten głos... Było w nim tyle troski i pewności, że potrafi pomóc. To dziwne, ale to samo czuła, kiedy spojrzała na niego po raz pierwszy.

- Mamy tu jeszcze kilka złamanych żeber. - Patrick zmarszczył brwi. - To komplikuje sprawę.

Harriet zauważyła liczne zasinienia i otarcia skóry.

Przy ponownym odwracaniu trzeba będzie zachować wyjątkową ostrożność, aby nie narażać pacjenta na niepotrzebny ból.

Po chwili Blake znowu leżał na plecach i Ross Williams przystąpił do szczegółowego badania neurologicznego, podczas gdy Patrick uważnie przeglądał zdjęcia rentgenowskie, umieszczone na biegnącym wzdłuż ściany ekranie.

Sprawdzający receptory czucia test Rossa Williama, polegający na nakłuwaniu skóry igłą, był szybki i bardzo dokładny.

- Powiedz „tak”, jeśli coś poczujesz, Blake.

Zespół pielęgniarek z uwagą obserwował reakcje Blake'a na ukłucia, lecz Harriet jak urzeczona patrzyła na samego chirurga. Zauważyła ciemne kręcone włosy, które przykrywały ucho. Te włosy tak bardzo przypominały włosy Freddiego. Czy są tak samo miękkie?

- Ściśnij moją dłoń - polecił Ross. - A teraz zrób to samo drugą ręką.

- Harriet! - Niecierpliwy ton głosu Davida uświadomił jej, iż nie pierwszy już raz ją woła. - Potrzebuję cewnika o przekroju pięć do dziesięciu milimetrów.

Peter mrugnął do niej ze zrozumieniem. W końcu to jest jej pierwszy dzień po powrocie do pracy. Żeby przynieść właściwą tacę, Harriet musiała przejść obok Patricka. Mijając go, odniosła wrażenie, że spojrzał na nią, jakby zdumiony, skąd się tu wzięła, jakby uważał, że nie posiada wystarczających kwalifikacji, by zajmować takie stanowisko. Pomyślała, że Patrick chyba nie darzy jej sympatią.

Kiedy cewnik moczowy został założony, wszyscy przeszli na oddział radiologiczny, gdzie wykonano całą serię prześwietleń. Dzień pracy Harriet zbliżał się do końca. Czekala tylko na podjęcie dotyczących chorego decyzji.

- Mamy tu przemieszczenie szóstego i siódmego kręgu szyjnego i częściowe porażenie wszystkich kończyn - oznajmił Patrick Miller, wskazując na jedno ze zdjęć. - Sytuację komplikują liczne pęknięcia w okolicach mostka.

- Możemy się również spodziewać stłuczeń płuc. Pacjent ma też dużo zasinień.

- Chciałbym nastawić zwichnięcia operacyjnie i unieruchomić kilka kolejnych kręgów, a później weźmiemy chorego na wyciąg.

Harriet była jedyną pielęgniarką obecną podczas narady lekarzy i przez cały czas robiła notatki. Osiągnięcie stanu stabilnego było w tej chwili sprawą najważniejszą. Wciąż istniało ogromne ryzyko, że obrażenia mogą być jeszcze większe. Operacja i wyciąg mogą temu zapobiec.

Blake Donaldson wyglądał na przerażonego.

- Nie podoba mi się ta operacja - wymamrotał.

- Kiedy zobaczymy się jutro rano, będzie już po wszystkim, Blake. - Harriet łagodnie dotknęła jego policzka, jakby w ten sposób chciała mu dodać odwagi. - Zobaczysz, zaraz poczujesz się lepiej. Będę się tobą opiekowała...

- Dzięki. - Blake spojrzął na jej identyfikator. - Harry. Postaram się zapamiętać. - Błado się uśmiechnął. - Wcale nie wyglądasz jak Harry.

Wyczerpany przeżyciami dnia, Freddie zasnął, zanim skończył swój ulubiony deser z galaretki i lodów. Harriet zaniósła ciepłe, słodko pachnące ciało do leżącego obok jej sypialni małego pokoiku, odsunęła stertę pluszowych zabawek i klocków, i położyła synka do łóżeczka. Po chwili wróciła do kuchni, gdzie jej ojciec nakrywał już do stołu.

- Wyglądasz, jakbyś miała zasnąć, zanim zdążysz pomyśleć o deserze - powiedział starszy pan.

- Jestem zmęczona - przyznała Harriet. - To był cholernie trudny dzień.

- Czy był tak trudny, jak się spodziewałaś?

- Nawet trudniejszy - odrzekła, nakładając na talerz sałatkę.

- Jednak świadomość, że mimo wszystko poradziłam sobie, sprawiła mi ogromną satysfakcję.

John skinął głową.

- Byłem o tym przekonany. Założę się, że wiele osób ucieszyło się z twojego powrotu.

Harriet uśmiechnęła się, ale już po chwili jej twarz spochmurniała.

- Ten nowy chirurg mnie nie lubi.

- Dlaczego tak myślisz? - John pokręcił głową. Uważał, że Harriet lubi martwić się na zapas.

- Och, wiele by na to wskazywało. Ja... - Urwała nagle, słysząc dzwoniący telefon. Szybko podniosła słuchawkę, bojąc się, że hałas może obudzić Freddiego. - To do ciebie, tatusiu

- rzekła po chwili. - Marilyn.

- Naprawdę? Bardzo się cieszę!

Widząc, że starszy pan. zabiera ze sobą talerz, Harriet uśmiechnęła się, przekonana, że ta rozmowa nie skończy się zbyt szybko. Po śmierci matki Marilyn Scott pomagała ojcu w prowadzeniu jego firmy zajmującej się projektowaniem ogrodów. Przez jakiś czas firma przeżywała kłopoty finansowe, ale lojalność Marilyn i jej wkład finansowy zdecydowały, że stała się współniczką ojca, mniej więcej w tym czasie, kiedy Harriet wyszła za mąż za Martina.

Harriet i Martin zastanawiali się później, czy partnerstwo w interesach i przyjaźń to nie początek bliższej zażyłości. Jednak gdy ojciec zostawił firmę i Marilyn, przenosząc się do Christchurch po narodzinach Freddiego, Harriet doszła do wniosku, że się myliła.

Gdy ojciec przyjechał, Harriet była ciężko chora i po urodzeniu Freddiego przebywała przez jakiś czas w szpitalu. Stra-

ciła wtedy dużo krwi. Później powiedziano jej, że gdyby pewien tajemniczy lekarz nie zdołał powstrzymać krwotoku, zanim przybył helikopter, z pewnością by nie przeżyła. Harriet nigdy nie udało się mu podziękować. Zostały po nim ciepła koszula w szkocką kratę i pewien bardzo dziwny przedmiot: obrączka ślubna. Przedmioty te schowane były razem z wycinkami z gazet i cienką opaską identyfikacyjną, którą założono na rączkę Freddiego, kiedy wraz z matką przyjmowano go do szpitala.

Harriet była szczęśliwa, że przynajmniej mogła podziękować ojcu. A miała za co! To on zajął się sprzedażą domu, do którego Harriet nie miała odwagi wrócić, i to on uporządkował rzeczy po Martinie, na przykład jego fotel na kółkach, którego widok był ostateczną przyczyną tej tak brzemiennej w skutki ucieczki na odludzie. I to jej ojciec znalazł dla nich nowe miejsce do życia: nieduży dom na terenie pewnej posiadłości, w której przyjął posadę zarządcy dla pokrycia kosztów wynajmu.

Pomysł okazał się znakomity. Wprawdzie leczenie głębokich psychicznych ran postępowało powoli, ale wsparcie ze strony ojca, miłość do dziecka, spokój wiejskiego pejzażu i wspaniały ogród wokół ich domu i rezydencji właściciela posiadłości zrobiły swoje.

Myła właśnie swój talerz, gdy ojciec wszedł do kuchni.

- Co słyszeć u Marilyn?
- W porządku - odparł John. - Jak zawsze pełna optymizmu, mimo wszystko.

Harriet zaniepokoiła się.

- Ma jakieś kłopoty?
- Zdaje się, że szkółka drzew to nie był dobry pomysł - z westchnieniem odrzekł John. - Zaangażowaliśmy w ten interes za dużo forsy. Marilyn próbuje skłonić bank do odroczenia

terminu płatności, przynajmniej do chwili, aż zaczniemy sprzedaż.

- Wolałbyś sam się tym zająć, prawda?
- Wolałbym, żeby nie musiało dojść do takiej sytuacji.

Gdybym nie wydał wszystkich pieniędzy na beznadziejne próby leczenia twojej matki, mógłbym o wiele bardziej pomóc tobie i Freddiemu, a Marilyn nie musiałaby ratować tonącej firmy.

- Może do niej wrócisz, tato?
- A jak sobie poradzisz z dzieckiem i pracą?
- Muszę. Wiele kobiet jest w takiej sytuacji.
- A co z tym domem? Przecież wiesz, że zgodnie z umową trzeba zajmować się ogrodem i utrzymaniem porządku w dużym domu. Nie dasz sobie rady.

- Więc? Ostatecznie możemy znaleźć coś innego.

Jednocześnie spojrzeli na siebie. Doskonale wiedzieli, jak bardzo Harriet lubi tę posiadłość i jak wspaniale czuje się tu Freddie.

- Wszystko się jakoś ułoży, tatusiu. - Odwróciła się, by ojciec nie zauważył w jej oczach łez. - Jestem strasznie zmęczona, chyba już pójdę spać.
- Dobrze, skarbie. Połóż się, a ja skończę za ciebie to sprzątanie. - John spojrział na córkę z czułością. - I staraj się nie martwić na zapas. Wszystko się jakoś ułoży.

Skinęła głową, podświadomie jednak czuła, że chociaż w jej życiu wiele już się zmieniło, to największe zmiany są jeszcze przed nią.

Minęło dziesięć dni i jej życie zaczęło się stabilizować.

- Freddie uwielbia przedszkole - zwierzyła się któregoś

dnia Sue. - Ma wielu kolegów, z którymi chciałby się codziennie widywać.

- Mówiłam ci, że tak będzie - ucieszyła się przyjaciółka.

- Chyba kamień spadł ci z serca?

Harriet skinęła głową.

- Poza tym chodzi tylko o trzy dni w tygodniu. Tata inaczej ułożył swoje godziny pracy. Wyobraź sobie, że Freddie przez całą sobotę strzygł trawniki przy domu i był bardzo z siebie dumny.

- Jak sobie z tym poradził? - zapytała Sue, przysiadając na brzegu biurka przyjaciółki.

Harriet oparła łokcie na stercie formularzy.

- Tata, kiedy siada na kosiarkę, bierze Freddiego na kolana i przypina do siebie paskiem, a Freddie jest wtedy święcie przekonany, że to on tę trawę kosi.

- A ty też zajmujesz się ogrodem?

- Pomagałam któregoś dnia przy przycinaniu gałęzi, ale nie robię zbyt wiele. - Harriet westchnęła. - Właściciel posiadłości wkrótce znowu wybiera się w podróż za ocean i będę musiała zająć się jego domem. Nie mogę zrzucić wszystkiego na ojca.

- Jak wygląda ten dom wewnątrz?

- Jest absolutnie fascynujący. Ogromny. Wspaniałe boazerie, bogato zdobione sufity i cudowne perskie dywany. Freddie nazywa go zamkiem, a ja jestem nim zauroczona.

- Czy nie byłoby cudownie zamieszkać w takim domu?

- To nie dla takich biedaków jak my - roześmiała się Harriet. - Wyobrażasz sobie, jak bardzo musiałybyśmy się zadłużyć?

Wciąż się śmiały, gdy nieoczekiwanie w pokoju Harriet zjawił się Patrick Miller.

- W zabiegowym kończą się opatrunki. Mówiłem już o tym wczoraj. Dlaczego, do diabła, wciąż ich nie ma?

Harriet zagryzła wargi. Zamówienie leżało na biurku.

- Zaraz wyślę faks. Powinny być jeszcze dziś.

- Powinny być teraz! - rzekł z naciskiem Patrick.

Sue szybkozsunęła się z biurka i obciągnęła spódnice.

- Czy mam po nie pójść? - zapytała.

- Mogłabyś? Dzięki, Sue. To bardzo ładnie z twojej strony.

Sama powinnam była to zaproponować, pomyślała Harriet,

wręczając Sue zamówienie. Z jakiegoś niejasnego powodu jej reakcje w obecności doktora Millera nie były normalne. Po chwili wyszedł z pokoju razem z Sue i Harriet długo jeszcze słyszała ich głośny śmiech. Do diabła! Dlaczego ten facet tak bardzo jej nie lubi?

Chłód, jak jej okazywał, był zbyt ostentacyjny, żeby pracownicy oddziału mogli tego nie zauważyć. Kiedy Harriet poskarżyła się Sue, że odnosi wrażenie, iż szef jest do niej uprzedzony, przyjaciółka starała się ją uspokoić.

- On ciebie jeszcze zbyt dobrze nie zna.

Jednak Harriet nie wydawała się przekonana. W stosunku do pacjentów, których na początku też przecież nie znał, potrafił być czarujący i oni go uwielbiali.

- Sprawdzaj wszystko, co zrobię. Zdjął nawet Blake'owi opatrunki, żeby się przekonać, czy czasem nie będzie się miał do czego przyczepić.

- Nonsens! On po prostu lubi być ostrożny. To perfekcjonista. Pewnie sprawdzał umocowanie gwoździ łączących kości.

- Mógł to zrobić bez zdejmowania opatrunków - mruknęła Harriet. - Musiałam je później zmienić.

Sue roześmiała się. Najwyraźniej nie zauważyła, że Patrick

ma zwyczaj natychmiast opuszczać każde pomieszczenie, jeśli tylko wchodzi do niego Harriet, ani też spojrzeń, jakimi ją obrzuca. Jakby się dziwił, co ona tu robi... Po tym, co się dziś wydarzyło, Sue może uważać, że ma powody. Harriet powinna była pomyśleć o opatrunkach, a nie wdawać się w pogaduszki.

Mimo wszystko kochała tę pracę. Poznała już swoich pacjentów i dzieliła ich radość, gdy odzyskiwali zdrowie, i smutek, gdy ich stan się nie poprawiał. Enid Palmer po operacji i założeniu kołnierza opuściła już szpital, Elsie Wilkinson jeszcze leżała na specjalnym łóżku, ale mogła już wykonywać pierwsze ruchy. Zaczęła powoli odzyskiwać czucie i władzę w nogach i perspektywa całkowitego powrotu do zdrowia ogromnie ją cieszyła. Jack Lancaster także już został wypisany. Jego problemy z nerkami szczęśliwie udało się opanować. Obiecał Harriet, że wkrótce ją odwiedzi i przyniesie zdjęcie, na którym jest razem z Martinem.

Blake Donaldson pomyślnie przeszedł operację i lekarze mieli nadzieję, że wkrótce zacznie odzyskiwać władzę w przedramieniu i dłoni. Od kilku dni mógł już zmieniać pozycję przy zastosowaniu szerokiej opaski na brzuch i specjalnych pończoch, które zapobiegają nadmiernemu gromadzeniu krwi obwodowej, co często prowadzi do niedociśnienia i utraty przytomności. Tego ranka Blake miał odbyć swój pierwszy spacer w fotelu na kółkach i Harriet spodziewała się, że może być z tego powodu nieco zdenerwowany. Jednak kiedy Harriet podeszła do jego łóżka, Blake nawet na nią nie spojrział.

- Dowiedziałam się, że dzisiaj masz swój pierwszy spacer. Bardzo się z tego powodu cieszę.
- Dlaczego? - zapytał bezbarwnym głosem.
- Spodziewam się, że wkrótce zaczniesz normalnie żyć.

- O tak, z pewnością!

Rozgoryczenie w głosie Blake'a bardzo ją zmartwiło. Dotychczas zupełnie dobrze sobie radził i jego stan psychiczny zdawał się nie budzić obaw. Był szczęśliwy, że mimo wszystko przeżył, a ostrożny optymizm lekarzy dotyczący ręki dodawał mu otuchy. To, iż nie był w stanie chodzić, wydawało się sprawą drugorzędną. Może widok wózka tak go przygnębił? Harriet odsunęła biegnącą wokół jego łóżka zasłonę i przysunęła bliżej wózek.

- Czy twoi rodzice przyjdą zobaczyć, jak sobie radzisz?

Wiedziała, jak wielką rolę odgrywa obecność rodziny i przyjaciół w tak ważnej sytuacji jak ta, gdy pacjent po raz pierwszy opuszcza łóżko. Rodzice Blake'a i jego przyjaciółka Sharon przyjechali z wybrzeża i zatrzymali się w przyszpitalnym hotelu. Ich obecność była dla niego ogromnym wsparciem.

- Taaa. Nie mogą przecież zrezygnować z takiego widowiska.

- A Sharon? Czy ona również przyjdzie?

Blake milczał. Harriet czuła, jak powoli jego nastrój zaczyna się i jej udzielać. Przyjaciółka Blake'a wczoraj z nią rozmawiała. Dziewczyna podczas spotkania z narzeczonym trzymała się jakoś, ale Harriet nie miała wątpliwości, co naprawdę przeżywała.

- Obawiam się, że nie dam sobie z tym rady. Wszystko jest takie... inne.

- Oczywiście, że inne - zgodziła się Harriet. - Jednak Blake jest wciąż taki sam. Obydwoje musicie się jakoś pozbierać. Wiem, że to trudne. On potrzebuje wsparcia ze wszystkich możliwych stron. Nie podejmuj teraz żadnych decyzji.

Sharon odwróciła wzrok.

- My nawet nie będziemy mogli, no wiesz... mieć dzieci i w ogóle.

- Wielu mężczyzn jest w takiej sytuacji jak Blake, a jednak są ojcami. W dzisiejszych czasach to jest możliwe.

- Ale to było dla nas najważniejsze, wiesz, o czym mówię? Mam na myśli seks. Teraz już tego nie będzie.

- To również nieprawda, Sharon - spokojnie odparła Harriet. - Oczywiście, seks też nie będzie już taki, jak był, ale wciąż może dać wiele satysfakcji, szczególnie tobie. Będzie po prostu... inny.

Harriet wiedziała, że walczy o przegraną sprawę. Jeśli seks był jedynym spoiwem, które tych ludzi łączyło, to ten związek nie miał szans. Depresja Blake'a i jego wymowne milczenie tylko potwierdzały jej obawy, że Sharon wybrała najgorszą chwilę do ucieczki. Harriet ścisnęła rękę Blake'a.

- Jest wiele kobiet, które są w stanie pokonać wszelkie przeszkody, które potrafią dostrzec wewnątrz i pokochać nie tylko za powierzchowność.

- O, tak! Z pewnością - odparł z goryczą.

Harriet uniosła do góry lewą dłoń, pokazując obrączkę, którą wciąż nosiła na palcu.

- Widzisz to? - zapytała. - Chcesz wiedzieć, jak poznałam mojego męża?

- Nie.

- Świetnie. Mimo wszystko powiem ci. Poznałam go, kiedy leżał w szpitalu, tak jak ty teraz. - Przerwała na chwilę, aby lepiej dotarły do niego jej słowa. - Miał na imię Martin. Doznał urazu kręgosłupa podczas górskiej wspinaczki, a ja byłam jego pielęgniarką. Z czasem zakochaliśmy się w sobie. Oczywiście musieliśmy pokonać wiele przeszkód, ale byliśmy bardzo szczęśliwi.

Blake w końcu podniósł na nią oczy.

- A co z seksem? - zapytał bez ogródek.
- Był inny - uśmiechnęła się - ale z pewnością cudowny.
- Był? - Blake zmrużył oczy. - A więc nie wystarczył?
- Wystarczał przez lata. - Teraz to Harriet odwróciła wzrok.
- Wystarczał aż do jego śmierci.
- Och! - Po chwili milczenia Blake odchrząknął. - Przykro mi, Harry.
- Mnie również, ale nie z tego powodu, że za niego wyszłam
- dodała. - Nie oddałabym tych lat za żadne skarby świata.
- Może... ja też uważniej się przyjrzę pielęgniarce.
- Zrób to koniecznie! - Harriet roześmiała się wesoło. - Ale nie zapomnij o terapeutkach, dietetyczkach i dziesiątkach innych kobiet, które jeszcze spotkasz, szczególnie teraz, gdy zaczniesz wstawać z łóżka...

Patrick już poprzedniego dnia zauważył, że Blake popadł w depresję. Odwiedził go więc jeszcze przed normalnym obchodem i ze zdumieniem stwierdził, że wszelkie objawy przygnębienia gdzieś zniknęły.

- Dzisiaj wstaję, doktorze. Czekam właśnie na terapeutę, żeby się przenieść na wózek.
- Wiem. Wpadłem zobaczyć, jak się czujesz. Wczoraj wyglądałaś na nieco przybitego.
- Rzeczywiście, byłem. Moja dziewczyna ode mnie odeszła. Wprawdzie nie powiedziała tego wprost, ale ja potrafię czytać między wierszami. Ona już nie wróci.
- Wcale nie musi tak być. Może ona potrzebuje trochę czasu, żeby się przyzwyczaić? W takiej sytuacji to normalne.
- Nie. Ja też nie wierzę, żebyśmy mogli wspólnie przez to

przejsć. Jednak to przecież nie koniec świata. Ktoś przecież nawet kimś takim jak ja może się jeszcze zainteresować.

- Na pewno. - Patrick uśmiechnął się.
- Harry mogła.
- Harry?
- Pielęgniarka. Harry McKinlay. Znają pan?
- Tak - Uśmiech nagle zniknął z twarzy Patricka. - Czy chcesz powiedzieć, że zainteresowała się tobą? - Na Boga, ta kobieta nie przepuści nawet pacjentom! Teraz nie miał już wątpliwości, że jego awersja do niej jest w pełni uzasadniona.
- Nie mną! - roześmiał się Blake. - Ona jest dla mnie za stara. Chciałem powiedzieć, że ona zakochała się w jednym ze swoich pacjentów. Wiele lat temu.
- Naprawdę? - zdziwił się Patrick.
- I nawet wyszła za niego za męż. Powiedziała, że byli ze sobą bardzo szczęśliwi.

Jakoś nie mógł w to uwierzyć. Był przekonany, że coś musi się za tym kryć. Ta kobieta tak troskliwie opiekowała się swoimi pacjentami jedynie po to, żeby nawiązać z nimi kontakt, który z czasem przerodzi się w zażyłość. Z pewnością bardzo intymną zażyłość.

Wciąż nie potrafił dowiedzieć się niczego więcej o Harriet. Właściwie przestał o niej myśleć jako o kobiecie. Starał się też nie myśleć o jej dziecku. Robił natomiast wszystko, żeby znaleźć w jej pracy jakiś profesjonalny błąd, który potwierdziłby tylko jego opinię. Bezskutecznie. Zdecydowanie większe sukcesy odnosił w unikaniu osobistych kontaktów z Harriet. Miał jednak wątpliwości, czy ona w ogóle to dostrzegała.

Zajęta była przecież innymi sprawami. Być może miała duży

seksualny apetyt, którego jej mąż nie był w stanie zaspokoić. Szukała więc i niewątpliwie znajdowała inne okazje. Patrick nic jednak nie mógł na to poradzić, że wbrew najszczerzszym chęciom jego ciała, kiedy myślał o apetycie Harriet, tak zdumiewająco reagowało. Być może to jej nieprzyzwoitość sprawiała, że jego pożądanie osiągało poziom, jakiego nie pamiętał od lat. A może najwyższy czas wreszcie położyć kres celibatowi, na który po śmierci żony dobrowolnie się skazał? Nowe życie, które sobie zafundował, wydawało się pod każdym względem doskonale!

Czy jednak czegoś w nim nie brakowało?

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Thomas Carr znowu wrócił na intensywną terapię.

Kiedy Harriet zjawiała się na dyżurze parę dni po pamiętnej rozmowie z Blakiem, widok Thomasa bardzo ją przygnębił. Zaczęła dzień w dobrym nastroju. Blake doszedł już do siebie i Harriet obiecała mu, że postara się być z nim dziś na basenie podczas hydroterapii. Lecz gdy znowu zobaczyła Thomasa podłączonego do licznych monitorów, z dwoma fizykoterapeutami, którzy, energicznie opukując klatkę piersiową, starali się pomóc mu odkaslnąć, serce w niej zamarło. Thomas miał zapalenie płuc, co wymagało intensywnego leczenia antybiotykami.

- Trzymamy go na dużej dawce antybiotyków makrolidowych - poinformował Harriet Ross Williams. - Erytromycyna dożylnie. Czekamy na wyniki badań kultur bakteryjnych krwi i flegmy, ale, biorąc pod uwagę jego ostatni atak, chciałbym jak najszybciej przystąpić do intensywniejszego leczenia.

Harriet skinęła głową.

- Nie spuścimy go z oka - obiecała, kierując się w stronę sąsiedniego łóżka.

Chciała poznać nową pacjentkę, o której, wiele mówiło się na oddziale.

- Ty jesteś Maggie Baxter - rzekła z uśmiechem. - Wiele o tobie słyszałam. Ja nazywam się Harriet McKinlay.

- Ach, tak. Ja też wiele o tobie słyszałam. - Kobieta wy-

ciągnęła do Harriet rękę. - Cieszę się, że mogę cię poznać, chociaż nie sądzę, żebym została tu dłużej niż dzień czy dwa. Maggie była malarką i jeśli obraz, który wisiał nad jej łóżkiem, był jej dziełem, mogła być z siebie dumna. Harriet z zainteresowaniem patrzyła na płótno.

- To pewnie jedna z twoich prac - powiedziała. - Słyszałam, że jesteś znakomita. Bardzo mi się podoba ten szkic Petera, który wisi w naszym pokoju, ale to... - wzięła głęboki oddech

- to jest...

- To mój dom - rzekła Maggie.

Harriet uniosła brwi.

- Musisz być szczęśliwa - wymamrotała. - Jest urzekający. Przypomina mi mój własny dom. Nic dziwnego, że nie możesz się doczekać, żeby stąd wyjść.

Charakterystyczny dźwięk wydobywający się z urządzenia, obok którego stała, zmusił ją do powrotu na ziemię. Maszyna rejestrowała czynności macicy leżącej w łóżku kobiety. Przypadek Maggie Baxter wzbudził takie zainteresowanie, ponieważ w chwili upadku kobieta znajdowała się w bardzo zaawansowanej ciąży. Harriet odnotowała godzinę i odczytała zapis.

- Minęło czterdzieści minut od ostatniego skurczu - oznajmiła.

- Dzięki ci, Boże! - Maggie odetchnęła z ulgą, bo o północy skurcze pojawiały się co pięć minut.

- Wlewka z salbutamolu zrobiła swoje - odetchnęła Harriet.

- Antybiotyki powinny poradzić sobie z infekcją nerek.

W którym jesteś tygodniu?

- Prawie w trzydziestym drugim. Byłam w trzydziestym, kiedy zdarzył się ten wypadek.

- Spadłaś z drabiny, tak?

- Uhm. Malowałam chmurki na suficie w dzieciennym pokoju. Wpadłam na pomysł, żeby tęcza sięgała aż do połowy ściany i zapomniałam, że stoję na samym szczycie drabiny.

Harriet pokręciła głową.

- Podobno kiedy cię do nas przywieźli, bardziej martwiłaś się tym, że możesz stracić dziecko, niż tym, czy będziesz chodzić. - Lekarze podejrzewali, że Maggie resztę życia spędzi na wózku inwalidzkim i jeśli w ogóle będzie z niego wstawać, to tylko w celach rozciągnięcia mięśni.

- Staraliśmy się o dziecko od dłuższego czasu - przyznała Maggie. - Ja i Luke jesteśmy małżeństwem już od dwunastu lat.

- Naprawdę? Musiałaś wyjść za mąż bardzo wcześnie.

- Miałam osiemnaście lat. - Maggie uśmiechnęła się szeroko. - Wtedy wydawało się nam, że to dobry pomysł. Luke miał dwadzieścia dwa, był więc chyba wystarczająco dorosły, żeby to ocenić. - Poglaskała się po okazałym brzuchu. - Długo czekał, żeby zostać ojcem. Trochę się martwi tym, co się stało.

- Wszystko jest już pod kontrolą - zapewniła ją Harriet.

- Przyjdę do ciebie trochę później. Za chwilę zjawi się tu ponownie położnik, doktor Andrews.

Maggie zmarszczyła brwi.

- Czy mogę zadzwonić? Chciałabym uprzedzić Luke'a, że tu jestem, zanim to zrobi ktoś inny. Mógłby niepotrzebnie się zdenerwować.

- Oczywiście. Zaraz tu przyniosę aparat. Jestem na dyżurze przez cały dzień, daj więc znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała.

Położnik był zadowolony, że udało się oddalić niebezpieczeństwo przedwczesnego porodu. Doktor Andrews był zdania,

że Maggie należy przewieźć do szpitala położniczego na obserwację, lecz ona nie wyraziła na to zgody.

- Zostanę tutaj. Już się do tego miejsca przyzwyczaiałam. Poza tym wkrótce będę w domu.

W końcu osiągnięto kompromis polegający na tym, że Maggie zostanie na intensywnej terapii do czasu, aż ustąpią niepokojące lekarzy objawy. Luke Baxter zjawił się tuż po odejściu położnika. Harriet, idąc do Thomasa Carra, słyszała jego pełen niepokoju głos.

- Jesteś pewna, że dobrze robisz? A jeśli dziecko zacznie się rodzić? Będzie potrzebny inkubator, opieka.

- Uspokój się. Nie ma jeszcze takiej potrzeby - przerwała mu Maggie. - Od dwóch godzin nie mam żadnych skurczów ani rozwarcia. Spadła mi temperatura i czuję się już znacznie lepiej. Przestań się martwić!

Harriet uśmiechnęła się do Luke'a.

- Maggie ma rację, Luke. Sytuacja została już opanowana - oświadczyła.

- Jesteś tego pewna?
Maggie roześmiała się.

- On uwielbia się martwić. Jeśli zniknie jeden powód, natychmiast znajdzie sobie jakiś inny.

- Będziemy ich strzegli jak oka w głowie - zapewniła go Harriet. - Jeszcze dziś zrobimy Maggie usg, a później zostanie przeniesiona na normalny oddział.

Stan Thomasa Carra przez cały dzień był stabilny. Pacjent spał, kiedy Harriet notowała na jego karcie wyniki badań. Z ulgą zauważyła, że temperatura ciała i częstość bicia serca spadły. Antybiotyki zaczęły już działać.

Dyżur Harriet dobiegał właśnie końca, gdy Peter przywiózł

z sali operacyjnej pacjenta, który po operacji ściegna miał pozostać przez całą noc na OIOM-ie. Po chwili zjawił się Patrick Miller. Podszedł do łóżka pacjenta, nawet nie patrząc w kierunku Harriet, po czym szybko zaciągnął zasłonę. Harriet pochyliła się nad Thomasem, starając się zmierzyć mu ciśnienie bez budzenia go.

Słyszała głęboki, spokojny głos Patricka i przeklinała samą siebie, widząc, jak ten głos na nią działa. To pewnie efekt długotrwałego celibatu, pomyślała.

Spojrzała na świetlny punkt na ekranie monitora rejestrującego pracę serca. Cyfry pokazujące tętno zachowywały się dziwnie. Harriet położyła rękę na przegubie dłoni Toma i zamoczyła czoło. Rytm, który wyczuwała pod palcami, też był dziwny. Dwa uderzenia i przerwa. Silne uderzenie, dwa słabsze i znowu przerwa. Westchnęła cicho. Arytmia jest kolejną, bardzo niebezpieczną dla Toma komplikacją. Zerknęła na zegarek, który wskazywał, że już pięć minut temu powinna była skończyć dyżur, i podłączyła do Toma elektrokardiograf.

Ross Williams był w sali operacyjnej, doktor Matthew Bryson tego popołudnia operował również. Wszystkie pozostałe pielęgniarki w tej chwili też były zajęte, a Zoe nigdzie w pobliżu nie widziała.

- Doktorze Miller? - zawołała. - Czy mógłby pan przyjść tu na chwilę?

Cisza. Czyżby słyszał, a mimo to postanowił ją zignorować? Spojrzała na monitor EKG. Wykres wyglądał jak jakaś drgająca spirala. Nie było czasu do stracenia.

- Patrick! - Tym razem głos Harriet zabrzmiał donośnie i niemal rozkazująco. - Potrzebuję cię. Natychmiast!

Błyskawicznie znalazł się przy niej.

- Jeszcze przed chwilą był rytm bliźniaczy - poinformowała go szybko - ale teraz to już chyba torsade des pointes.

- Nie. To już migotanie komór. Wózek reanimacyjny, Harriet!

Rzuciła się do drzwi, wciskając po drodze przycisk alarmowy. Kiedy po chwili wróciła do pokoju, Peter stał już obok Patricka i podłączał do Toma aparat Ambu, podczas gdy Patrick masował serce pacjenta poprzez uciskanie jego klatki piersiowej. Harriet błyskawicznie umieściła elektrody defibrylatora pod i nad sercem Toma.

- Włącz dwieście dżuli.

- Gotowe. Włączam.

Patrick i Peter cofnęli się, a Harriet przekreśliła przełącznik. Ciało Toma konwulsyjnie drgnęło, a wszystkie oczy powędrowały w kierunku ekranu monitora. Jednak wstrząs okazał się zbyt słaby, by serce zaczęło ponownie bić.

- Spróbujmy przełączyć na czterysta dżuli.

Wokół nich zgromadził się już liczny personel, ale to Harriet była osobą, do której Patrick się zwrócił.

Wszyscy wstrzymali oddech, ale dopiero po trzecim wstrząsie serce Thomasa Carra zaczęło znowu pracować. Większość personelu szybko wróciła do swoich zajęć. Patrick poszedł skonsultować się z Rossem Williamsem. Czuł, że Tom powinien być przeniesiony na intensywną terapię do szpitala Christchurch.

- Czy możesz posprzątać tu, Peter? Jestem już bardzo spóźniona, a muszę odebrać Freddiego - rzekła Harriet.

- Jasne - odparł z uśmiechem Peter. - Możesz już wyjść.

Mogłaby, gdyby nie Patrick, który niespodziewanie zjawił się w drzwiach jej pokoju, kiedy, chwyciwszy w pośpiechu torbę i żakiet, zmierzała do wyjścia. Chwilę patrzył na nią w mil-

czeniu, po czym skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu i powiedział:

- Dzięki, Harriet. Dobrze się spisałaś.

Harriet poczuła, jak fala ciepła popłynęła w kierunku jej policzków.

- Czy nic mu już nie grozi?

- Tom będzie teraz potrzebował intensywniejszej opieki, jakiej nie jesteśmy w stanie mu zapewnić. Przesłałem już jego EKG na kardiologię. - Spojrzał na nią spod oka. - Ordynator oddziału był pod wrażeniem, że od razu rozpoznałaś torsades des pointes.

Harriet nerwowo poprawiła przerzucony przez ramię pasek od torebki.

- A więc te wszystkie szkolenia i kursy nie były czasem straconym. Czy on uważa, że erytromycyna pomogła?

Patrick patrzył na nią w zamyśleniu.

- Tak, ale teraz zmienili mu już antybiotyki. - Znowu się uśmiechnął. - Tom znajduje się w dobrych rękach. Jestem pewien, że wkrótce znowu będzie z nami.

Harriet uśmiechnęła się również. Uznanie, a być może nawet podziw ze strony kogoś, kto dotąd tak konsekwentnie ją ignorował, ogromnie ją zaskoczył. Patrick jednak nadal blokował drzwi i zaczynała się już niecierpliwić.

- Przepraszam - odezwała się - ale chciałabym wyjść. Jest późno, a muszę jeszcze odebrać syna z przedszkola.

Twarz Patricka nagle sposepniała.

- Twojego syna? - zapytał lodowatym tonem.

- Tak - wykrztusiła Harriet. Gwałtowna zmiana w zachowaniu Patricka była dla niej niezrozumiała. - Mam synka. Nazywa się Freddie.

- Ile lat ma... Freddie?
 - Za parę miesięcy będzie miał trzy.
- Patrick patrzył na nią, jakby nagle zobaczył ducha.

- I... chodzi do przedszkola?
- Tak. - Poczula niepokój. - To doskonale przedszkole.

Freddie bardzo je lubi. Poza tym dla mnie to jedyne wyjście, jeśli chcę pracować.

Właściwie dlaczego mu się tłumaczy?

- Widzę, że praca jest dla ciebie bardzo ważna. - Ton głosu Patricka sugerował, że dziecko jest dla niej mniej ważne. Teraz to ona się zdenerwowała.

- Oczywiście - odrzekła chłodno. - Zauważ jednak, że mój dyżur skończył się już prawie godzinę temu...

- Skoro praca jest dla ciebie taka ważna, to nie wątpię, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby mi złożyć raport na piśmie w sprawie udziału w reanimacji Toma.

- Oczywiście. Będziesz go miał na biurku z samego rana.

- Nie. Będzie na moim biurku jeszcze dziś, zanim wyjdiesz - rzekł Patrick, robiąc jej przejście. - Jestem przekonany, że to doskonale przedszkole zaopiekuje się twoim dzieckiem tak długo, aż wypełnisz swoje obowiązki.

Miała ochotę natychmiast wyjść. Wiedziała oczywiście, że przed przeniesieniem Toma na kardiologię należy uzupełnić jego kartę o szczegóły dotyczące ostatniego zabiegu, ale przecież jej udział nie był znaczący. Patrick z powodzeniem mógł sam zrobić z tego notatkę i dołączyć ją do swojego raportu.

Z furią rzuciła torbę na podłogę i usiadłszy przed komputerem, zaczęła szybko pisać. Wciąż jednak nie mogła się uspokoić. Co on właściwie sobie myśli? Jak śmiał insynuować, że jej syn liczy się dla niej mniej niż praca?

Pisanie raportu zabrało jej. dziesięć minut. W chwilę potem rzuciła go na biurko Patricka.

- To Durphy! - rozległ się radosny okrzyk Freddiego, a zaraz potem tupot małych stóp.

- Murphy - odruchowo poprawiła go Harriet.

Dlaczego akurat „d” jest ulubioną spółgłoską Freddiego?

Wytarła dłonie i wyszła za synkiem na zewnątrz. Malec, wspiąwszy się na palce, obejmował za szyję ogromnego psa. Irlandzki wilczur stał spokojnie, machając przyjaźnie ogonem.

- Witaj, Murphy! - Harriet poklepała pieśczołtliwie łeb psa. Murphy należał do pana Henleya, właściciela posiadłości, ale od dawna był honorowym członkiem ich małej rodziny. Po chwili właściciel psa zjawił się również.

- Dzień dobry, Harriet. Jak tam w pracy?

- Wspaniale, dzięki. - Harriet spojrzała na torbę z jedzeniem dla psa, którą Henley trzymał w ręku. - Czy Murphy zostaje na dłużej?

- Jeśli to możliwe. Wyjeżdżam jutro na jakieś sześć tygodni...

- Doskonale pan wie, że może u nas zostać, jak długo będzie trzeba. Freddie go uwielbia.

- Durphy! - zawołał uszczęśliwiony chłopiec i pociągnął psa za ucho. - Chodź, poszukamy patyka.

- Myślę, że jest tu szczęśliwszy niż w tym wielkim domu ze mną. Czy zastałem twojego ojca? - Gerry Henley uśmiechnął się, widząc, z jakim zainteresowaniem jego pies patrzy na patyk, którym Freddie wymachuje mu przed nosem. Kiedy po chwili wyrzucony ręką malca patyk wylądował na ziemi, Murphy, prawie nie ruszając się z miejsca, chwycił go w pysk.

- Brawo, Durphy! - zawołał uradowany Freddie.
- Ojciec jest jeszcze w pracy. - Harriet również z przyjemnością obserwowała zabawę ogromnego psa z jej małym synkiem. - Jakaś duża firma ogrodnicza chce przejąć część firmy ojca. Właśnie teraz mają spotkanie w tej sprawie. Czy to coś pilnego?
- Ależ skąd. Chciałem mu tylko powiedzieć, że posiadłość wygląda znakomicie i że trawniki nigdy nie były takie piękne.
- Gerry wręczył Harriet duży pęk kluczy. - Martwi mnie tylko to, czy teraz, kiedy już pracujesz na pełnym etacie, dasz sobie radę z utrzymaniem porządku w moim domu. Zawsze przecież mogę kogoś jeszcze wynająć.
- Och, nie trzeba, poradzę sobie - zapewniła go Harriet. Nie chciała sugerować niczego, co mogłoby świadczyć o tym, iż nie są w stanie dotrzymać warunków umowy.
- Gerry przez chwilę obserwował ją w milczeniu, po czym skinął głową.
- Dobrze. Gdzie mam zostawić jedzenie dla psa?
- Jak zwykle, w szopie. - Harriet z ulgą zmieniła temat.
- Czy mogę pójść po posłanie dla Murphy'ego?
- Czulem, że o czymś zapomniałem. To dobry pomysł, Harriet. Poza tym potrzebuję twojej rady. Zastanawiam się, jak ożywić przestrzeń za żywopłotem. Samotne drzewo i bluszcz to widok zbyt monotony.
- Znajdę tylko buciki Freddiego. - Harriet uśmiechnęła się szeroko na myśl o urzeczywistnieniu planów, z którymi nosiła się już od dawna. Morze białych róż to widok z pewnością niepowtarzalny! - Za chwilę będziemy gotowi.

Lóżko Thomasa Carra zostało szybko zajęte przez następnego

go młodego mężczyznę. Jeszcze jeden motocyklowy wypadek, jeszcze jedno życie nieodwracalnie zmienione przez paraliż. Przyjęcie ofiary wypadku i wstępne badania przeprowadzono, zanim Harriet zdołała oderwać się od papierkowej roboty. Do izby przyjęć weszła akurat w chwili, gdy zespół pielęgniarek szykował się do przeniesienia pacjenta z noszy na łóżko.

Sprawdziła ułożenie specjalnych poduszek, które miały zabezpieczyć kręgosłup chorego przed dalszymi urazami.

- To jest Hanish Ryder - oznajmił Peter. - Spadł z motoru po zderzeniu z samochodem, doznając przy tym całkowitego uszkodzenia kręgosłupa poniżej kręgu jedenastego w rezultacie przemieszczenia kręgow jedenastego i dwunastego.

- Witaj, Hanish. - Uśmiechnęła się do pacjenta. - Mam na imię Harry i jestem pielęgniarką oddziałową, tak więc przez kilka najbliższych dni będziemy się widywać. Teraz przeniesimy cię na łóżko, na którym będzie ci o wiele wygodniej.

- Nie ruszajcie mnie, proszę. Nie zniosę tego bólu - błagał chłopak.

- Będziemy bardzo ostrożni - obiecała. - Nawet tego nie zauważysz. - Posypała talkiem ręce trzech pielęgniarek.

Sanitariusz, który przywiózł Hanisha do szpitala, odsunął nosze w tej samej chwili, gdy zespół płynnym ruchem uniósł pacjenta do góry. Następnie razem z Harriet błyskawicznie przesunęli łóżko na miejsce, na którym przed chwilą stały nosze. Pielęgniarki tym samym płynnym ruchem opuściły pacjenta na ułożone na materacu poduszki.

- To niesamowite! - zdziwił się Hanish. - Rzeczywiście nic nie poczułem.

- Po to tu jesteśmy - zauważyła Harriet. - Chcielibyśmy,

żebyś się czuł u nas możliwie najlepiej. Peter będzie się tobą opiekował przez resztę dnia. Ja przyjdę do ciebie trochę później.

Przed południem personel nigdy nie miał przerwy na kawę. Każdy wypijał ją wtedy, gdy pozwalały mu na to obowiązki. Tym razem dochodziła jedenasta, gdy Harriet weszła do pokoju śniadaniowego. Nie było w nim nikogo, toteż z westchnieniem ulgi zagłębiła się w fotelu.

Czuła się zmęczona. Wczorajsza długa dyskusja z Gerrym Henleyem na temat zmiany aranżacji ogrodu była tak emocjonująca, że miała potem wiele kłopotu, by przygotować kolację, a jeszcze więcej, by przerwać zabawę Freddiego z Murphym i położyć malca do łóżka. Późnym wieczorem wrócił do domu ojciec.

- Otrzymałem poważną ofertę sprzedaży firmy - oznajmił.
- Poprosiłem o tydzień do namysłu.

Harriet westchnęła, zastanawiając się, jakie będą konsekwencje, jeśli ojciec podejmie decyzję o sprzedaży.

Nagle wejście Patricka przerwało tok jej myśli. Harriet nie podniosła wzroku znad trzymanej w ręku filiżanki, przekonana, że Patrick, dostrzegłszy ją, natychmiast się wycofa. Myliła się jednak. Minął ją bez słowa i w części kuchennej zajął się przygotowywaniem kawy. Po chwili wziął filiżankę do ręki i usiadł, wprawdzie nie przy niej, jednak na tyle blisko, żeby dać jej do zrozumienia, że ma zamiar z nią porozmawiać. Obserwowała go w milczeniu, starając się ukryć, jak bardzo była jego zachowaniem zaskoczona. Wciąż miała do niego pretensję o ten wczorajszy raport. Pomyślała, że właśnie o tym chce z nią porozmawiać, jednak Patrick ponownie ją zaskoczył.

- Czy pochodzisz z tych okolic, Harriet? - zapytał.

- Nie. - Uśmiechnęła się. Jeśli to, że nieoczekiwanie przestał jej unikać, ma oznaczać jakąś próbę przeprosin, to ona jest skłonna mu wybaczyć. - Urodziłam się w Auckland - dodała po chwili. - Przyjechałam tu do pracy dziesięć lat temu, ponieważ chciałam się specjalizować w pielęgniarstwie urazów kręgosłupa. Potem wyszłam za mąż i zostałam tu.

- A... Freddie? Czy urodził się w Christchurch?

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Dziwne pytanie. Dopiero przecież mu powiedziała, że mieszka tu od dziesięciu lat.

Może

coś słyszał o niezwykłych okolicznościach, w jakich Freddie przyszedł na świat?

- Niezupełnie - odrzekła, uważnie wpatrując się w zawartość filiżanki. - Freddie urodził się na plaży. - Zaśmiała się nerwowo. - To się stało zupełnie niespodziewanie i niewiele z tego pamiętam.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Wzruszyła ramionami; nie chciała wracać do tamtych spraw. - Tak czy owak, od tamtego dnia minęło dużo czasu i na szczęście wszystko się dobrze skończyło.

- A twój mąż? Co robi?

- Niewiele. - Nie miała ochoty rozmawiać o Martinie z kimś, kto go nie znał. Wiedziała, że ludziom trudno było uwierzyć, że wyszła za niego z miłości. - On nie żyje - dodała spokojnie, wstając jednocześnie z fotela.

Patrick wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

- Przykro mi - odparł po chwili. - Musi ci być ciężko, szczególnie teraz, kiedy wróciłaś do pracy.

- Jakoś sobie radzimy.

- Radzimy?

Dosyć miała tych według niej zbyt osobistych pytań. Sposób,

w jaki ten człowiek na nią patrzył, sugerował, że nie traciła czasu, by znaleźć kogoś, kto zastąpi jej męża.

- Powiedziałaś, że twój mąż nie żyje?
- Tak.
- Ale masz kogoś?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem i nerwowo wypila resztę kawy. Jeśli to są jakieś podchody, by się dowiedzieć, czy jest wolna, to posunął się za daleko. Od początku nie podobał się jej sposób, w jaki ją traktował. Nie podobała się jego wczorajsza arogancja, kiedy, wykorzystując swoją pozycję, zatrzymał ją w szpitalu, żądając sporządzenia tego cholernego raportu. Jednak najbardziej nie podobały się jej te osobiste pytania, które zdawały się krytycznie oceniać jej prywatne życie.

- Czy to ojciec Freddiego?

A więc o to chodzi! Harriet z trzaskiem zamknęła drzwi szafki i z furią odwróciła się do Patricka.

- Nie, to nie jest ojciec Freddiego! Jeśli, doktorze Miller, tak bardzo interesuje się pan moim życiem, to pewnie zainteresuje pana również to, że nie mam zielonego pojęcia, kto właściwie jest ojcem Freddiego.

Wiadomość zdawała się nie robić na nim żadnego wrażenia. Wyglądał tak, jakby tego się właśnie spodziewał.

- A dlaczego zdecydowałam się mieć dziecko, to nie pański interes, doktorze - ciągnęła zdenerwowanym głosem. - Ani to, jak ułożyłam sobie życie. Może mi pan wydawać polecenia dotyczące spraw zawodowych, ale stanowczo wypraszam sobie, żeby mnie wypytywano o moją... moją... - Nerwowo szukała właściwego słowa.

- Moralność, tak? - Jego głos był zdumiewająco chłodny.
- Jak śmiesz! - zawołała z oburzeniem.

Obserwował jej nagle pobladłą twarz. Musiał dotknąć jakiegoś bardzo czułego miejsca.

- Nigdy bym nie śmiał niczego komentować - oznajmił.
- Szczególnie twoich prywatnych spraw. Były chyba dość skomplikowane. Nie mówiąc o tym, że bardzo bogate.

Głos Harriet nagle stał się lodowaty.

- Nie rozumiem, dlaczego tak cię tu lubią, Patrick. Jesteś wyjątkowo niesympatycznym człowiekiem.

Odwróciła się i wybiegła z pokoju. Gdyby kiedykolwiek sporządzała listę osób, których nienawidziła, to Patrick Miller zajmowałby na niej jedno z czołowych miejsc.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdyby nie była taka wściekła, być może uniknęłaby wypadku. A gdyby Blake nie był tak zaskoczony nagłym pojawieniem się Harriet na korytarzu, być może zdołałby zachować kontrolę nad elektrycznym wózkiem, przy pomocy którego się poruszał.

Jak w większości przypadków, był to z pewnością splot różnorodnych okoliczności. I jak w większości przypadków, wydarzenia potoczyły się zbyt szybko, by ofiara zdążyła poczuć strach. Gdy Harriet nieoczekiwanie pojawiła się na korytarzu, Blake zamiast wózek zatrzymać, zwiększył jeszcze jego prędkość. Harriet straciła równowagę, gdy próg wózka zahaczył o kostkę jej nogi. Ostrzegawczy krzyk idącego przy wózku terapeuty zmieszał się z przekleństwami siedzącego w fotelu Blake'a. Potem usłyszała jeszcze jakiś trzask i przerażone głosy powtarzające jej imię.

Ból był bardzo intensywny, jednak to trudności ze złapaniem oddechu ją przeraziły. Miała wrażenie, że się dusi, że umiera, ale tym razem nie miała zamiaru się poddać. Usiłowała się podnieść, uwolnić od ciężaru, który tak bezlitośnie przytłaczał ją do ziemi.

- Ściągnijcie go z niej!
- Jak, u licha, to się stało?
- Harry, przepraszam. Nie chciałem...

- Na litość boską, ściągnijcie go z niej!

Wreszcie nieznośny ciężar ustąpił i wciągnęła powietrze w obolałe płuca. Kiedy jednak poruszyła nogą, z jej ust wydobył się okrzyk bólu.

- Ostrożnie! To może być złamanie.

Głos Patricka Millera. Szorstki, zdecydowany, pewny siebie. Kakofonia dźwięków sprawiła, że Harriet przyknęła oczy, starając się opanować strach. Wokół niej gromadził się personel i pacjenci. Rozpoznała spokojny głos Patricka:

- Wszystko jest opanowane. Proszę się nie denerwować.

I tak rzeczywiście było. Harriet czuła na szyi dotyk męskiej dłoni. Wciąż szybko oddychała, ale paraliżujący strach prawie ustąpił.

- Harriet? Czy słyszysz mnie? Otwórz oczy.

Powoli uniosła ciężkie, powieki i ujrzała wpatrujące się w nią brązowe oczy Patricka. Malująca się w nich troska była dla niej czymś w rodzaju liny ratunkowej.

- Zaraz cię stąd zabierzemy, Harriet. Wytrzymaj jeszcze chwilę.

Nagle odniosła wrażenie, że kiedyś już była w takiej sytuacji. Skądś znała te oczy, to spojrzenie. Już miała sobie przypomnieć, co to było, gdy odsunięto wózek i jej pozbawiona oparcia głowa uderzyła o podłogę.

Wyraz twarzy Patricka gwałtownie się zmienił, gdy karcił obsługę za brak ostrożności. Harriet poczuła się zakłopotana, że znalazła się w centrum zainteresowania. Wiedziała, że to kwestia najbliższych minut, gorąco jednak pragnęła, by zabrano ją stąd natychmiast. Pokonując ból, starała się usiąść. Niesamowite wrażenie, że to wszystko już kiedyś było, zniknęło. Nic dziwnego, że ta sytuacja wydała się jej znajoma. Tak samo się

czuła, gdy Patrick badał Blake'a Donaldsona. Przypomniała sobie, że chcąc go podnieść na duchu, używał tych samych określeń.

- Nie ruszaj się! - zawołał, gdy usiłowała wstać.

Odruchowo cofnęła się. Nie chciała, by ten człowiek jej dotykał. Zbyt żywe było wspomnienie ich rozmowy, kiedy z taką arogancją wypowiadał się na temat jej moralności.

- Zostaw mnie - warknęła. - Nic mi nie jest.

Po spojrzeniu, jakim ją obrzucił, wiedziała, że był wściekły. Prawdopodobnie dlatego, że musiał udzielić pomocy komuś, kogo tak bardzo nie znosił. Tym razem zdołała unieść górną część ciała. Podciągnęła nogę, ale kiedy usiłowała poruszyć stopą, z jej ust wyrwał się głuchy jęk.

- Nie ruszaj się! - zawołał Peter, który przykucnął przy jej nodze naprzeciwko Patricka. Obydwaj z niepokojem patrzyli na opuchniętą kostkę.

- Wydaje mi się, że jest złamana - oznajmił pielęgniarz.

- Jak się czujesz, Harry?

- Dobrze - skłamała. Ona również z niepokojem patrzyła na powiększającą się w oczach opuchliznę. - To pewnie tylko stłuczenie. Przyłożę sobie trochę lodu.

Patrick ponownie zaczął badać jej stopę.

- Czy możesz ruszać palcami? - zapytał.

Na jej twarzy pojawił się grymas bólu.

- A więc złamanie jest prawdopodobne - powtórzył Patrick.

- Potrzebne jest prześwietlenie.

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie.

- Czy zawsze protestujesz, kiedy w grę wchodzi twoje własne dobro? - zapytał Patrick z ironią.

Ton jego głosu znowu ją zirytował. Dosyć miała jego aro-

ganckiego i obraźliwego zachowania, a dotkliwy ból w kostce rozdrażnił ją jeszcze bardziej.

- Tylko wtedy, gdy pomoc nie jest mile widziana - odparła cierpko. - Uważam, że zamiast wozić mnie z takim głupstwem na prześwietlenie, można o wiele sensowniej wykorzystać czas.

Jego dłonie wciąż dotykały jej stopy. Czuła, jak jej skóra pod tym dotykiem pulsuje i płonie.

- Ma pan, doktorze Miller, pacjentów, którzy bardziej potrzebują pańskiej pomocy - ciągnęła Harriet lodowatym tonem.

- Uważam, że powinieneś raczej sprawdzić, czy Blake Donaldson nie odniósł jakichś poważniejszych obrażeń.

- Zoe Pearson i David Long już się nim zajęli - zapewnił ją Peter.

Dłonie Patricka nagle znieruchomiały.

- Jak zwykle masz rację, Harriet - powiedział. - Rzeczywiście mam coś lepszego do roboty, niż przekonywać kogoś, kto i tak przekonać się nie da. - Odwrócił się do pielęgniarki. - Może tobie uda się ją namówić, żeby zrobiła rentgen, a kiedy zdjęcia będą już gotowe, postaram się znaleźć trochę czasu, żeby je obejrzeć. Jako szef oddziału, muszę dbać o kondycję mojego personelu i podejmować stosowne decyzje - rzekł spokojnie, po czym odszedł sztywnym krokiem, nie widząc, jak twarz Harriet oblewa rumieniem upokorzenia.

- O co mu chodzi? - spytał zdumiony Peter.

- Podejrzewam, że byłby szczęśliwy, mając pretekst do wysłania mnie na długotrwałe zwolnienie - mruknęła Harriet.

Poczuła w gardle piekące łzy. To był taki wspaniały start w nowe życie. Teraz wszystko straszliwie się poplątało i nie miała pojęcia dlaczego.

Peter obserwował ją z niepokojem.

- Daj spokój, Harry. To do ciebie zupełnie niepodobne. -
Otoczył ją ramieniem i pomógł w utrzymaniu równowagi. -
Może to tylko zwichnięcie - uśmiechnął się szeroko. - Mamy
tu wiele wolnych kul i foteli na kółkach.

Pół godziny później David Long przyniósł zdjęcie.

- Nie ma złamania, ale skręcenie wygląda paskudnie. -
David z podziwem spojrział na imponujący obrzęk wokół ko-
stki.

- Kompresy z lodu niewiele pomogły - przyznała Harriet."

- Zaraz to zabandażujemy. Będziesz musiała zostać w domu
przez kilka dni i trzymać nogę możliwie najwyżej. - David wrę-
czył jej fiolkę z tabletkami. - To lek przeciwpalny, dwie tab-
letki co cztery godziny. - Zaczął owijać stopę i kostkę elastycz-
nym bandażem. Gdy skończył, sprawdził krążenie krwi w pal-
cach. - Paddy zamówił ci do domu taksówkę.

- Doskonale, będzie więc musiał ją odwołać - oświadczyła.
- Pojadę do domu, kiedy uznam, że jestem gotowa. I na pewno
nie taksówką. - Czy on nie wie, ile by to kosztowało?! - Za-
dzwonię do mojego ojca. Coś mi się zdaje, że przez kilka dni
nie obejdzie się bez kul.

David skinął głową.

- Jane zaraz ci je przyniesie, jednak Paddy polecił ci iść na
zwolnienie do końca tygodnia.

- Nie pójdę na zwolnienie - oświadczyła. - Zaraz wracam
do swoich obowiązków. Jeśli pan Miller sądzi, że tak łatwo się
mnie pozbędzie, to bardzo się rozczaruje.

- Czyżby? Zastanawiam się, dlaczego nie jestem tym spe-
cjalnie zaskoczony - rozległ się czyjś chłodny głos.

Harriet odwróciła się gwałtownie i jej wzrok zatrzymał się
na postaci blokującej drzwi gabinetu radiologii.

- Nie ma powodu, żebym szła na zwolnienie - rzekła Harriet spokojnie. - To tylko zwichnięcie.

- Sądziś więc, że z tą nogą możesz efektywnie wypełniać obowiązki pielęgniarki? - zapytał Patrick. - Poruszając się o kulach? - dodał sarkastycznie.

- Mam dużo pracy papierkowej, którą mogę wykonywać nawet w fotelu na kółkach - odrzekła ostro. - Poza tym jutro przyjdzie nowa grupa uczniów szkoły pielęgniarskiej. Odpowiadam za nich. Podręcznik pielęgniarstwa jest trochę przestarzały. Od dwóch lat nic się w nim nie zmieniło.

Wyraz twarzy Patricka nie wróżył niczego dobrego.

- A może odkryłaś jeszcze jakieś inne zaniedbane obszary, za które ja, jako szef tego oddziału, odpowiadam?

Zagryzła wargi. Nie chciała brać zwolnienia, ale zdawała sobie sprawę, że Patrick może ją do tego zmusić.

- Ja niczego nie krytykuję - powiedziała spokojnie. - Uważam tylko, że w mojej pracy można wiele zmienić.

W drzwiach nagle pojawił się David.

- Jak się czuje Blake? - spytała z niepokojem.

- Jest trochę roztrzęsiony - odrzekł Patrick - ale chyba bardziej z twojego powodu niż z troski o własne zdrowie.

- Czy coś mu się stało?

- Nie. Prawdopodobnie zadziałałaś jako jego amortyzator. W funkcjonowaniu jego ręki widać nawet poprawę. Był tak zły na siebie, że zacisnął prawą dłoń w całkiem imponującą pięść.

- Wiem, jak się czuje - mruknęła. - Ale to była moja wina, a nie Blake'a.

- Teraz to nieistotne - odrzekł Patrick, patrząc na zegarek, - Najwyższy czas, żebyś pojechała do domu, Harriet. Twoja noga musi trochę wypocząć.

A więc nie ma zamiaru zmuszać jej do pójścia na zwolnienie. Harriet odetchnęła z ulgą i na jej twarzy pokazał się szeroki uśmiech, ale Patrick już wyszedł i w drzwiach pojawiła się Jane, niosąc w ręku kule.

Wkrótce potem Harriet zadzwoniła do domu, nikt jednak nie podniósł słuchawki. Pomyślała, że ojciec, korzystając ze sprzyjającej pogody, strzygł trawniki przed domem pod nadzorem zachwyconego tym Freddiego. Stamtąd z pewnością nie słyszą telefonu. Nie mogła teraz zmienić zdania i dzwonić po taksówkę, skoro protestowała, kiedy Patrick chciał to zrobić. Nie mogła też czekać, aż w holu zjawi się ktoś z personelu, kto będzie mógł jej pomóc.

Pozostawało tylko jedno wyjście. Wzięła do ręki kule, pozwoli przeszła przez hol i opuściła budynek szpitala. Na zewnątrz, mimo pięknej pogody, było prawie pusto. Pora lunchu ma swoje prawa. Na parkingu nie było żywej duszy.

Harriet skierowała się w stronę swojego samochodu. Nie mogła się pozbyć uczucia winy. Wiedziała, że nie powinna była tego robić i z zadowoleniem stwierdziła, że stojący tuż obok jej auta ogromny wehikuł z napędem na cztery koła zapewni jej doskonałą osłonę. Balansując na lewej nodze, starała się umieścić kule na tylnym siedzeniu. Kiedy jednak spróbowała odrobinę podeprzeć się prawą nogą, przeszył ją ból i zakłęta cicho. Być może, jeśli będzie jechała bardzo wolno, nie będzie musiała używać prawej stopy. Niektórzy pacjenci potrafią przecież prowadzić, nie używając w ogóle stóp. Nagle usłyszała, że ktoś zatrząskuje drzwiami stojącego obok samochodu.

- Co ty, u licha, tu robisz?
- A ty? - parsknęła.
- To mój samochód - odparł spokojnie Patrick. - Właśnie

miałem zamiar pojechać do szpitala Christchurch odwiedzić Thomasa Carra, który może jeszcze dziś opuści OIOM. - Patrzył na nią z dezaprobatą. - Nie mogłem uwierzyć własnym oczom, kiedy zauważyłem, jak się skradasz na parking.

- Wcale się nie skradałam - zaprotestowała.

- Nie mogłem uwierzyć - ciągnął, ignorując jej protest - że ktoś może być aż tak głupi, żeby decydować się na prowadzenie samochodu w takim stanie. - Otworzył na oścież drzwi range-rovera. - Przesiadaj się - rzekł. - Zawiozę cię do domu, zanim zdązysz spowodować kolejny wypadek.

- Wezmę taksówkę - wymamrotała.

- Za późno. - Patrick ujął ją za ramię. - Zrezygnowałaś przecież z tej możliwości. Albo więc pojedziesz moim autem, albo natychmiast pójdziesz na zwolnienie.

Wiedziała, że nie ma wyboru. W milczeniu wdrapała się na wysokie siedzenie i drzwi po jej stronie zatrzasnęły się. Po chwili dobiegł do niej odgłos rzucanych na tylne siedzenie kul i zamykanych z rozmachem innych drzwi.

- Pewnie tak samo traktujesz swojego kota, jeśli ten biedak ma nieszczęście mieszkać z tobą - mruknęła.

- Co powiedziałaś?

- Ja... powiedziałałam, że mieszkam za miastem i że czeka nas długa droga.

- I pewnie jazda taksówką byłaby zbyt kosztowna?

Zerknęła na niego spod oka, i pominęła jego uwagę milczeniem.

- Jedź cały czas prosto, a kiedy znajdziemy się na drugim brzegu rzeki, skrećisz w prawo. O której godzinie masz być u Thomasa Carra?

- O tej, o której będę - rzucił bez zastanowienia. - Mam

dziś dosyć spokojne popołudnie. Może wreszcie uda mi się uzgodnić wizytę u dentysty.

- Ach tak! - Być może ból zęba był przyczyną złego humoru doktora Millera!

Samochód błyskawicznie połykał kilometry. Patrick sprawiał wrażenie, jakby myślami błądził gdzieś daleko i jakby to, o czym myślał, wcale nie sprawiało mu przyjemności.

Obserwowała go spod oka. Jej wzrok zatrzymał się na dłoniach o długich, wąskich palcach, które mocno obejmowały kierownicę. Pomyślała, że te palce tak niedawno dotykały jej ciała. Z jej ust musiał się bezwiednie wyrwać jakiś dźwięk, ponieważ Patrick odwrócił się do niej.

- Co się stało? - zapytał.

Gorączkowo szukała w myślach sensownej odpowiedzi.

- Ja... och, przykro mi, że boli cię ząb - wykrztusiła.

- Nic mnie nie boli - zaprzeczył.

Znowu zapadła cisza i Harriet odważyła się ponownie na niego spojrzeć. Chyba wyczuł, ponieważ odwrócił głowę i ich oczy na moment się spotkały. Kąciki jego ust leciutko zadrżały.

- To nie przez ząb tak zrzędzę. Są inne powody.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Czyżby chciał się wytłumaczyć? Musiałoby to być coś znacznie poważniejszego niż przykład zapalenie ozębnej, żeby mogło usprawiedliwić stosunek Patricka do niej.

- To wjazd do domu. - Harriet wskazała bogato zdobioną bramę z kutego żelaza.

Patrick odczytał stary napis na tabliczce: Riverton, i spojrzał na podjazd obsadzony z obydwu stron rzędem starych drzew.

- Czy to farma?

- Kiedyś to była farma. - Nie miała zamiaru opowiadać

Patrickowi historii posiadłości. - Skręć z głównej alei. Tam, na samym końcu, jest mały domek.

Zaczynała się denerwować. Nastrój Patricka uległ radykalnej zmianie. Wydawał się dziwnie ożywiony, jakby na coś czekał. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Nie lubił jej, skąd więc takie zainteresowanie jej prywatnym życiem? Za chwilę będzie go miała z głowy, pocieszała się. Ojciec pewnie nadal pracuje razem z Freddiem w ogrodzie. Dzięki temu będzie mogła pozbyć się intruza, zanim ten zdoła jeszcze głębiej wtargnąć w jej życie. Jakże żałowała, że nie wzięła jednak tej przeklętej taksówki!

Jej pretensja do siebie była jeszcze większa, gdy Patrick zatrzymał auto na podjeździe. Ojciec majstrował coś przy silniku kosiarki stojącej na trawniku tuż przed domem. Ubrany jedynie w szorty, cieszący oko wysportowaną sylwetką i zdrową opalenizną, zupełnie nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt dziewięć lat. Harriet widziała, jak Patrick podejrzliwie przygląda się jej ojcu. Doskonale, niech myśli, co chce, zdecydowała.

- Harriet! Nie spodziewałem się ciebie tak wcześnie. Szybko otworzyła drzwi.

- Nie fatyguj się - rzuciła w stronę Patricka. - Dam sobie radę.

On jednak jej nie słuchał. John Peterson zauważył zabandażowaną nogę córki.

- O Boże! Co się stało...

- To tylko skręcenie - uspokoiła go. - Gdzie Freddie?

- Podlewa ogród. Murphy mu pomaga. A oto i on.

Ociekający wodą ogromny wilczur wybiegł zza domu i rzucał się w stronę obcego, broniąc swego terytorium.

- Wielki Boże! - zawołał Patrick. - Czy to pies, czy koń?

- W jednej ręce trzymał kule Harriet, drugą wyciągnął przed siebie w obronnym geście, kiedy ogromne psisko zatrzymało się tuż przed nim.

- To wilczur - ostrzegła go Harriet. - Nie lubi obcych.

Murphy trącił łbem rękę Patricka i machnął przyjaźnie ogonem. Patrick przesunął pieszczotliwie dłonią po miękkim futrze i oczy Murphy'ego przymknęły się z lubością.

Harriet nie wierzyła własnym oczom.

- Zdrajca - z wyrzutem powiedziała do psa. - Będziesz dziś spał na podłodze, kolego.

John wciąż patrzył na córkę z niepokojem.

- Co się stało, Harry?

- Mały wypadek, nic poważnego - uspokajała go. - Nie musisz się martwić, naprawdę.

- Proponowałem jej kilka dni zwolnienia, ale nie chciała o tym słyszeć.

- To przecież tylko skrócenie - z irytacją powtórzyła Harriet. - Nie chciałam nawet wolnego popołudnia.

- Może pan ma na nią większy wpływ niż ja.

John Peterson spojrział na córkę, potem na jej towarzysza i znowu na córkę. Widząc zagniewaną twarz Harriet, uśmiechnął się lekko.

- Wątpię. Harry czasem jest uparta jak dziecko. - John uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do gościa rękę. - Miło mi. Jestem John Peterson. Ojciec Harriet.

- Och! - Patrick miał niezbyt mądrą minę. - A więc jest pan ojcem Harriet!

Prychnęła ze złością. Obydwaj panowie spojrzeli na nią, wymieniając uścisk dłoni.

- Pan Miller spodziewał się, że moje rodzinne układy są

trochę bardziej... skomplikowane. - Wyciągnęła rękę, by odebrać od Patricka kule. - Dzięki za odwiezienie. Nie będę cię dłużej zatrzymywać.

- Mam dużo czasu - odrzekł Patrick bez namysłu. - Chciałbym jeszcze zerknąć na opatrunek i sprawdzić, czy obrzęk wokół kostki się nie powiększa.

- Nie ma potrzeby... - zaprotestowała, dostrzegając, że wąż do podlewania nagle znieruchomiał. Już za chwilę może się tu pojawić...

- Mamusiu!

Podobnie jak dziadek, Freddie miał na sobie jedynie szorty i kapelusz i jak Murphy był przemoczony. John złapał Freddiego, zanim malec zdążył się rzucić na Harriet.

- Powoli, kolego. Mamusia ma chorą nogę. Pozwólmy jej wejść do domu i usiąść, zanim się z nią przywitasz, zgoda?

Freddie zatrzymał się i ze zdziwieniem spojrział na Patricka. W jego ogromnych brązowych oczach pojawiło się nieme pytanie. Harriet milczała, zdając sobie sprawę, że nie zachowuje się zbyt taktownie. Sytuację uratował ojciec.

- To pan Miller, Freddie - wyjaśnił chłopcu. - Przywiózł mamusię do domu, ponieważ mamusia skreśliła nogę.

- Dlaczego?

- Tego nie wiem. Może pan Miller nam o tym opowie.

Wszyscy troje z zainteresowaniem spojrzeli na Patricka.

Harriet jak przez mgłę słyszała, że jej ojciec zaprasza Patricka do środka.

- Zapraszamy, doktorze Miller. Jestem pewien, że zimne piwo dobrze nam zrobi. To pan jest nowym szefem oddziału Harriet? Oczywiście, wiele o panu słyszałem.

Patrick uniósł do góry brwi i Harriet głucho jęknęła. Jej

oddział? Kiedy się jednak odezwał, w jego głosie słyhać było rozbawienie.

- Tak? Ja wcale nie jestem taki nowy. Pracuję tu od trzech lat.

John odwrócił się w stronę domu.

- Chodźmy więc po to piwo. Wszystko w porządku, Harry? Harriet umieściła kule pod pachami.

- W porządku, tatusiu.

Miała wokół siebie samych zdrajców. Murphy nie będzie dziś spał na podłodze. Umieści go w pokoju ojca. Zobaczymy, jak sobie z nim poradzi, mając pojedyncze łóżko! Pokonała dwa stopnie i spojrzała przez ramię. Patrick nie ruszył się z miejsca.

- Nie idziesz? - spytała.

- Chciałbym, ale nie jest łatwo się ruszyć, kiedy takie bydlę siedzi ci na nogach.

Harriet spojrzała na psa. Mogłaby przysiąc, że w oczach wilczura, kiedy majestatycznie się podniósł i ruszył w jej kierunku, można było dostrzec złośliwy uśmiech. Sama też miała ochotę się roześmiać, widząc ogromną mokrą plamę na spodniach Patricka. Odwróciła się jednak i z determinacją ruszyła w stronę domu, nie sprawdzając już czy Patrick idzie za nią. Nie chciała, żeby za nią szedł. Nie chciała, żeby wchodził do jej domu.

Harriet spojrzała na Murphy'ego, który jakby ją asekurował, widząc, z jakim trudem pokonuje schody. Wstydź się, mówiło jej spojrzenie. Jak możesz rozpoznać groźnego intruza, siedząc spokojnie na jego nogach!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Drzwi do gabinetu Harriet były otwarte. Patrick skończył właśnie obchód i przechodząc obok pokoju Harriet, zwolnił, słysząc jej głos.

- Czy ktoś wie, co to jest porażenna niedrożność jelita?

Stał pod ścianą, przepuszczając wózek, i uśmiechnął się, widząc determinację na twarzy pacjenta. Jakież to kontrast z niepewnie brzmiącym głosem jednej z adeptek pielęgniarstwa.

- Czy to ma jakiś związek ze wstrząśnieniem rdzenia?

- To powoduje rozcięcie brzuszne - rozległ się inny głos.

- Jak do tego dochodzi? - zapytał Harriet.

Sądząc po ciszy, która nagle zapanowała, uczestniczki szkolenia musiały się oddać procesowi intensywnego myślenia. Patrick dyskretnie zajrzał do środka.

Harriet siedziała otoczona kręgiem słuchających jej dziewcząt. Tuż przed nią stało dodatkowe krzesło, które służyło jej jako podparcie dla bolącej stopy. Musiał uznać zachowanie Harriet za wyjątkowo rozważne. Przez dwa dni, które minęły od wypadku, stosowała się do wszystkich wydanych przez niego zaleceń i proces zdrowienia stopy postępował zaskakująco szybko.

- Niedrożność jelita to inaczej jego zatkanie - ciągnęła Harriet. - Porażenna niedrożność jelita następuje...

Patrick ruszył przed siebie i głos Harriet cichł. Gdy wszedł do pokoju śniadaniowego, zrobił sobie filiżankę kawy, ale głos Harriet wciąż brzmiał mu w uszach. Ten głos irytował go. Ona go irytowała. I nie mógł dłużej składać tego na karb swojej niezbyt dobrej opinii na temat jej moralności i sposobu bycia. Na opinii o tej kobiecie, którą wyrobił sobie przed blisko trzema laty, nagle pojawiły się rysy, a właściwie głębokie szczeliny. Dlaczego zawiózł ją do domu? Jak mógł dobrowolnie wejść na to emocjonalne pole minowe?

W ponurym nastroju wziął do ręki filiżankę i zagłębił się w fotelu. Znał już odpowiedź. W ciągu ostatnich dwóch dni bez przerwy o tym myślał. Był wściekły. Jak można udawać świętą, a jednocześnie przyznawać, że się nie ma pojęcia, kto jest ojcem własnego dziecka?

Wciąż miał w oczach tę scenę, gdy wzburzona wypadła z pokoju prosto pod koła rozpedzonego wózka Blake'a Donaldsona. Strach o nią przyszedł nagle, nie wiadomo skąd. Jak mógł troszczyć się o tę kobietę? Jego reakcja była zaprzeczeniem jakiegokolwiek profesjonalizmu. Jednak jeszcze bardziej zaskoczyła go daleka od wdzięczności reakcja Harriet. Znowu poczuł do niej niechęć.

Idylla, którą ujrzał w jej domu, także ogromnie go zaskoczyła. Miał wrażenie, że widzi prawdziwy dom z kochającą matką i psem. Ach, ten pies! Patrick stłumił śmiech. Wciąż jeszcze nie odebrał spodni z pralni. Ta nieprawdopodobna uwaga w zachowaniu ogromnego zwierzęcia, który obserwował, jak Harriet kuśtyka do domu, i troska, z jaką John Peterson układał nogę córki na poduszkach, sprawiły Patrickowi szczególny ból. Nagle wróciły wspomnienia i żal za tym, co utracił.

Poza tym zobaczył Freddiego. Pamiętał, że kiedy odwoził

Harriet do domu, zastanawiał się, jak zareaguje na widok dziecka, z którym się czuł tak mocno związany. Co zrobi, jeśli chłopiec nie ma właściwej opieki, jeśli nie jest otoczony miłością, na jaką zasługuje?

Przekonał się jednak, że te więzi wciąż istnieją. Wiedział o tym od pierwszej chwili, kiedy ich oczy się spotkały. Wspomnienie oczu wpatrujących się w niego z wnętrza kartonowego pudła zatarło się już nieco, ale tamta magia trwała.

Nawet Harriet coś dostrzegła, bo nagle ogarnął ją niepokój. Usiłowała nawet pozbyć się malca z pokoju.

- Idź i pomóż dziadkowi, skarbie - poleciła. - Dziadek przygotowuje ci mleczko. - Obrzuciła Patricka szybkim spojrzeniem, w którym było wyraźne ostrzeżenie. - Freddie nie lubi obcych - zauważyła cierpko.

Jednak Freddie wyraźnie nie miał zamiaru wyjść. Wciąż stał w tym samym miejscu i przekrzywiwszy zabawnie główkę, wpatrywał się w Patricka. Jego pulchne nóżki śmiesznie wystawały z nieco za dużych szortów.

- Wiesz, ja mam naprawdę dużego konia - powiedział malec, który ogromnie lubił się popisywać nowo przyswojonymi wyrazami.

Patrick nie miał pojęcia, jak zareagować.

- Naprawdę? - zapytał ostrożnie, patrząc jednocześnie na Harriet z niemą prośbą o pomoc, ale Harriet ukryła twarz w dłoniach, jakby się chciała zapaść pod ziemię.

- A ty masz? - powtórzył pytanie malec.

- Och... - Patrick wił się pod uważnym spojrzeniem brązowych oczu. - Czy co mam, Freddie? - zapytał, usiłując wykreślić się od odpowiedzi.

- Czy masz naprawdę dużego konia - wyjaśnił Freddie.

- No wiesz... Myślę, że wystarczająco dużego.
- Pokaż - domagał się Freddie.

Patrick poczuł ulgę, widząc, że do pokoju wchodzi John Peterson, niosąc tacę z napojami. Najpierw podał filiżankę herbaty Harriet, następnie mleko Freddiemu. Chłopczyk wziął plastikowy kubek w ręczki i podniósł go do ust. Po chwili po mleku pozostały jedynie białe wąsy pod noskiem dziecka.

- Dziadku, gdzie jest mój koń?

- Myślę, że tam, gdzie go zostawiłeś. - John wcale nie wydawał się zakłopotany. - Nie przynoś go tutaj - zawołał, widząc, że chłopczyk wybiega z pokoju, po czym wziął do ręki oszronioną szklankę z bursztynowym płynem i podał go Patrickowi.

- To dla pana, panie Miller.

- Jestem Patrick - powiedział. - Dla przyjaciół Paddy.

John Peterson uśmiechnął się.

- A więc, Paddy, najlepszego.

Tymczasem w drzwiach saloniku pojawił się Freddie, ciągnąc za sobą ogromną gałąź.

- To mój koń! - zawołał z dumą.

I nagle to wszystko wydało się bardzo sympatyczne: radosny śmiech, ciepło i panująca w tej maleńkiej rodzinie życzliwość, nawet malujący się na ogromnym pysku psa zawód, gdy Freddie wyciągał go za obrozę na zewnątrz. Mimo widocznego zmęczenia, Harriet też zdobyła się na uśmiech. Kiedy John, widząc zainteresowanie gościa posiadłością, zaproponował, że go po niej oprowadzi, powieki Harriet same się już zamykały. Gdy po godzinie mężczyźni wrócili do domu, była już pogrążona w głębokim śnie. W jakiś niewytłumaczalny sposób Murphy wśliznęła się do pokoju. Leżał teraz obok niej na kanapie, a jego ogromny łeb spoczywał na jej klatce piersiowej.

- Szsz! - syknął Freddie prosto w ucho Harriet. - Mamusia śpi!

John z czułością spojrział na córkę.

- Jeśli ty jej nie obudziłeś, Freddie, to już nic jej nie obudzi.

- Nie będę jej teraz badał - zdecydował Patrick. - Lepiej już pójde. Mam jeszcze sporo do zrobienia.

- Dzięki za przywiezienie jej do domu.

- Ktoś musiał. - Patrick uśmiechnął się do Johna. - Inaczej sama by przyjechała.

- Wiem o tym - przyznał John. - Kiedy Harriet podejmie jakąś decyzję, wybicie jej tego z głowy jest z góry skazane na porażkę. Tak jest już od trzydziestu lat.

- Trzeba sprawdzać palce - oznajmił Patrick. - Upewniać się, czy może nimi ruszać. I rozluźnić bandażę, jeśli noga będzie puchła. Jeśli ten cielak wciąż będzie leżał na jej nogach, opuchniętej kostce na pewno to nie pomoże.

- Murphy nie robi jej krzywdy, Paddy - zapewnił go John. - On uwielbia Harriet.

I nie tylko on. Freddie stał przy matce i wpatrywał się w nią z takim niepokojem; jakby chciał coś zobaczyć przez jej zamknięte powieki. W pewnej chwili, widząc, że Patrick zamierza wyjść, cicho powiedział:

- Pa, Daddy.

John był już przy frontowych drzwiach, Harriet mocno spała. Prawdopodobnie źle wymówiona pierwsza spółgłoska nie była czymś nadzwyczajnym i pewnie nawet gdyby usłyszeli, nie zwróciliby na ten zabawny lapsus uwagi. Patrickowi jednak wcale nie wydawało się to zabawne.

Zamyślił się. Powinien już wyjść z tego pokoju i nie wracać do wspomnień. Chciał porozmawiać z Maggie Baxter, zanim po

południu przystąpi do operacji ścięgna. Wczorajsze prześwietlenie wyszło zupełnie dobrze i Patrick chciał osobiście o tym powiedzieć Maggie.

Na korytarzu spotkał Petera. Chłopak obejmował jedną z pielęgniarek, która dosłownie tonęła we łzach. Uśmiechnął się ponuro w odpowiedzi na uniesione brwi Patricka.

- Jude została właśnie zwymyślana przez Blake'a.

Patrick ciężko westchnął. Pacjent zdążył już obrazić dwie

inne pielęgniarki, najwyższy więc czas coś z tym zrobić. Od czasu wypadku z Harriet bardzo się zmienił. Nie chciał opuszczać łóżka i odmawiał współpracy z terapeutą. Podstawowe zabiegi pielęgnacyjne znosił jedynie wtedy, gdy nie był w stanie fizycznie się im przeciwstawić.

- Uważam, że nie możemy dłużej tego tolerować - oświadczył Patrick, ale kiedy skierował się w stronę pokoju Blake'a, gestem przywołała go sekretarka oddziałowa, Barbara.

- Mam tu na linii panią McFee - oznajmiła. - Jack przewrócił się i pani McFee obawia się, że mógł sobie coś złamać. Pyta, czy ma go przywieźć do nas, czy też pojechać prosto na pogotowie.

Patrick podniósł słuchawkę.

- Sarah? Przywieź go do nas. - Przez chwilę słuchał wyjaśnień, po czym dodał: - Spróbuj nie myśleć o tym i powiedz Jackowi, że to żaden problem. Czekam na was. - Uśmiechnął się do Barbary i odłożył słuchawkę. - Jack uważa, że Sarah niepotrzebnie robi alarm. Nie bardzo mu się uśmiecha powrót do szpitala, skoro nie minął jeszcze miesiąc, jak z niego wyszedł. Czy możesz zadzwonić do archiwum i poprosić o jego dokumenty?

Barbara skinęła głową.

- I zawiadam mnie, kiedy przyjadą. Będę na oddziale.
Już z daleka słyszał dochodzące z pokoju Blake'a krzyki.

- To była moja wina! - wołał Blake. - Nie powinienem był dać się namówić na ten cholerny wózek.

Usiłował mu odpowiedzieć inny, spokojny i cichy głos, ale Blake natychmiast mu przerwał.

- Chciałem tylko ruszyć z miejsca. Samodzielnie. Namówiłem Jane, żeby mnie przypięła pasami i pozwoliła spróbować. Ale ja nawet tego nie potrafiłem. - Coś jakby łkanie sprawiło, że Patrick postanowił się wycofać. To nie był właściwy moment na interwencję. - To bez sensu! - wołał Blake. - Będę tak leżał i gnił. Nigdy już nie dam się namówić. Następnym razem mógłbym kogoś zabić.

- Przestań! - Harriet podniosła głos. - Zabraniam ci zasłaniać się mną tylko po to, żeby nic nie robić. - Głos Harriet złagodniał. - Jeśli wzmocnisz górną część ciała, to będziesz w stanie kierować wózkiem o napędzie ręcznym. To nie była twoja wina. Gdybym wtedy nie była taka wściekła, być może w ogóle by do tego wypadku nie doszło.

Przez chwilę panowało milczenie i Patrick wciąż stał bez ruchu. Na szczęście nikt nie widział, że podsłuchuje.

- A co cię tak wkurzyło? - zapytał Blake. - To przecież ja mam problemy.

- Każdy ma jakieś problemy - zauważyła Harriet. - Nie masz na to monopolu. Musiałam zaprotestować przeciwko wyjątkowo aroganckiemu ingerowaniu pewnej osoby w coś, co nie powinno jej obchodzić.

Patrick cicho gwizdnął.

- Można by to było jeszcze jakoś wytłumaczyć - ciągnęła Harriet - gdyby ta osoba miała do takiego zachowania jakieś

podstawy, ale ponieważ nie ma, nie mam zamiaru tego tolerować. Jednakże teraz mówimy o tobie, Blake. Wyprowadziłeś z równowagi wiele osób, w tym i mnie, i oczywiście nie pomogłeś sobie. Jeśli chcesz leżeć i gnić, to wybierz inne miejsce, ponieważ szpitalna sala do tego się nie nadaje. Czy wiesz, jak bez fizjoterapii mięśnie i ścięgna potrafią się szybko skurczyć? Nie tylko stracisz szansę na skuteczną rehabilitację, ale doprowadzisz również do zaniku tych mięśni, które jeszcze pracują. Co według ciebie musi czuć Thomas, który leży w tym samym pokoju i widzi, jak dobrowolnie rezygnujesz z czegoś, do czego on tak bardzo stara się dojść? - Harriet wyraźnie zbierała się do wyjścia. - A więc jak będzie, Blake? Zostajesz czy wracasz do domu?

- Nie możecie mnie wyrzucić! - wykrzyknął z oburzeniem Blake, ale w jego głosie pojawił się cień niepokoju.

- Sam się przekonasz. Zostajesz więc, czy wychodzisz? Tym razem cisza trwała trochę dłużej, po czym Blake niepewnym głosem odrzekł:

- Zostaję.

- To dobrze - odrzekła szybko. - Powiem Jane, że jesteś gotowy do zabiegu.

Patrick pośpiesznie wycofał się z pokoju, kiedy zasłona przy łóżku Blake'a poruszyła się. Nie potrafił ukryć irytacji. Musiał przyznać, że kobieta, do której miał tyle zastrzeżeń, okazała się równie kompetentna w postępowaniu z pacjentami, jak i w kierowaniu swoim prywatnym życiem.

Ingerował w to życie, chcąc znaleźć potwierdzenie dla swej teorii, że Harriet była złą matką i że odebrano jej dziecko. Jednak prawda okazała się zupełnie inna. Patrząc na ten dom i tak bardzo kochającą się rodzinę, czuł zazdrość i było mu z tym źle.

Zupełnie nie wiedział, jak ma się zachowywać wobec tej kobiety. Jeśli więc było to tylko możliwe, starał się jej unikać, tak jak to zrobił teraz.

Maggie Baxter nie była chyba zadowolona z jego wizyty. Wychylona z wózka starała się podnieść duże opakowanie chusteczek do nosa, które upadło jej na podłogę.

- Pozwól, że ci pomogę - powiedział bez namysłu.

- Nie trzeba! - zaprotestowała, przesuając rękę w kierunku pudełka. W końcu, gdy jej palce dotarły do celu, z triumfem zawołała: - Udało się! - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Przykro mi, że byłam opryskliwa, ale muszę ćwiczyć. Jeśli nie potrafię podnieść czegoś z podłogi, to jak poradzę sobie z opieką nad dzieckiem? - Z trudem łąpała powietrze, jej twarz była purpurowa.

- Nie byłoby ci tak trudno, gdyby nie ciąża - rzeki cicho Patrick. - Na razie nie powinnaś się przemęczać.

- Nie mogę sobie na to pozwolić. - Uśmiechnęła się. - Chcę jak najszybciej wrócić do domu. Czy pan wie, doktorze, że Luke i ja dostaliśmy na weekend pokój w hotelu przy szpitalnym, żebyśmy mogli się przekonać, czy damy sobie radę?

Patrick skinął głową. Harriet wystąpiła z tym pomysłem podczas ostatniego spotkania personelu.

- Nie mogę się doczekać! - ciągnęła Maggie.,- Może potem będę już mogła wrócić do domu.

- Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei - ostrzegł ją. - Wprawdzie twój ostatni rentgen wyszedł wspaniale, jednak wciąż są problemy z pęcherzem.

- Od tygodnia nie mam już infekcji - zauważyła.

- A co z przyjmowaniem płynów?

- Przynajmniej trzy litry dziennie - jęknęła. - Nie mogę już patrzeć na wodę.

- Czy wróciło uczucie pełnego pęcherza?

Maggie skinęła głową.

- Czasem mam skurcze w nodze, ale najczęściej tu. - Poglądziła ręką mocno już zaokrąglony brzuch. - Trudno powiedzieć, czy to mięśnie moje, czy dziecka.

- Jak wczorajsze badanie?

- Wszystko dobrze. Powiedzieli, że jak na trzydzieści dwa tygodnie dziewczynka jest duża i ruchliwa.

- Dziewczynka?

- Nie widzieliśmy niczego, co mogłoby wskazywać na chłopca. Oczywiście, Luke nie chciał wiedzieć, ale moim zdaniem im mniej niespodzianek, tym lepiej. Chcę być w pełni przygotowana na przyjście dziecka, przekonać się, czy poradzimy sobie z tymi wszystkimi trudnościami, które nas czekają.

- Jest wiele powodów, żebyś z nami została do czasu rozwiązania. Możesz nawet nie poczuć, że poród się zaczął. To często się zdarza u kobiet z porażeniem kończyn dolnych.

- Cieszę się więc, że nie muszę się bać bolesnego porodu - odrzekła Maggie. - W każdej sytuacji, nawet najgorszej, można znaleźć coś pozytywnego.

Patrick opuścił Maggie, szukając pozytywnej strony własnego stanu emocjonalnego. Miał nadzieję, że Jack McFee dotarł już do szpitala, ale Barbara pokręciła głową.

- Kiedy się zjawi, natychmiast cię zawiadomię - obiecała.

- Doskonale. Otrzymałaś już te dokumenty z archiwum?

- Jeszcze nie. Zaraz do nich jeszcze raz zadzwonię. - Wyciągnęła rękę po słuchawkę, kiedy odezwał się inny telefon.

- Nie trudź się - powiedział Patrick. - Chętnie się przejdę i sam je przyniosę.

Archiwum szpitalne znajdowało się tuż obok biblioteki. Po

chwili stał już przed rzędami alfabetycznie ułożonych dokumentów. Bez trudu odnalazł teczkę Jacka McFee, lecz jego palce bezwiednie szukały dalej: McKinlay, Martin. Przypomniał sobie twarz, którą widział dwa dni temu na zdjęciu w domu Harriet. To było zupełnie niezamierzone. Promień słońca, który wpadł nagle przez otwarte drzwi, zatrzymał się na okrągłym stolyczku i oświetlił kolekcję oprawionych w ramki fotografii. Na jednej z nich, bardzo zabawnej, Patrick zauważył Murphy'ego, którego łeb zdobiły rogi renifera, i o wiele mniejszego, przebranego za elfa Freddiego, który stojąc na palcach, usiłował objąć swojego ulubieńca. Tuż obok stało maleńkie zdjęcie.

- To ojciec Freddiego - rzekł cicho John Peterson. - Martin McKinlay.

Ale on nie był przecież ojcem Freddiego. Patrick patrzył na zdjęcie i uśmiech powoli zniknął z jego twarzy. Atletycznie zbudowany młody człowiek o roześmianej sympatycznej twarzy wyglądał tak, jakby ten inwalidzki wózek, na którym siedział, nie mógł należeć do niego. Mężczyzna miał obydwie ręce wzniesione do góry. W jednej trzymał wstążki od medali, druga była triumfalnie zaciśnięta w pięść.

- To zdjęcie zdobyło pierwsze strony gazet - z dumą powiedział John. - Trzy złote i dwa brązowe medale na paraolimpiadzie.

Czy on wiedział, że nie był ojcem Freddiego?

- Martin zmarł dwa tygodnie przed przyjściem Freddiego na świat - dodał John. - Nie widział go.

Patrick powiedział coś zdawkowego, co miało wyrażać współczucie, ale myślami był daleko stąd, na odludnej plaży na zachodnim wybrzeżu. Co, u licha, Harriet robiła tak daleko od domu i rodziny, w parę dni po wydarzeniu, które odcisnęło się

na całym jej dalszym jej życiu? Co ją skłoniło do tej wyprawy? Poczucie winy czy bezgraniczna rozpacz?

Czerwone litery biegły w poprzek okładki: „Pacjent zmarł”. Patrick zawahał się. Nie miał żadnych powodów, które upoważniałyby go do przeczytania tych dokumentów. A może jednak? Łączyły go zawodowe kontakty z wdową po Martinie, które nie układały się najlepiej. Wiedząc o niej więcej, może zapobiec dalszym komplikacjom. Czy jednak to go uprawnia do interesowania się jej życiem prywatnym?

Sam nie wiedział, jak to się stało, że otworzył teczkę. Parę minut później był już kompletnie zaabsorbowany historią, którą odczytał między linijkami medycznych szczegółów.

Już wcześniej, patrząc na zdjęcie Martina, Patrick wiedział, że to był ktoś absolutnie wyjątkowy. Straszliwy wypadek, który zdarzył się podczas górskiej wspinaczki, spowodował nie tylko uraz kręgosłupa. Liczne obrażenia wewnętrzne sprawiły, że tylko jedna jego nerka była sprawna. Martin długo leżał w szpitalu, ale Patrick nie znał zbyt dobrze pisma Harriet i nie potrafił rozpoznać, które zapiski wyszły spod jej ręki. W jednym z dokumentów natrafił na wzmiankę o ślubie Martina. Spojrzał na datę. Osiem lat temu. Harriet miała wtedy zaledwie dwadzieścia cztery lata., Jest bardzo przejęty”. Po tych słowach autor postawił mnóstwo wykrzykników, po czym dopisał w nawiasie „Jak i my wszyscy”. A więc to była ważna uroczystość!

Oczywiście, zapiski na tym się nie urywały. Wynika z nich, że związek Martina i Harriet był bardzo szczęśliwy. Jest również informacja, że zwrócili się do lekarza, aby pomógł im spełnić ich marzenie posiadania dziecka. Z dalszych informacji wynikało, że Martin nie mógł mieć dzieci i że obydwójce poważnie brali pod uwagę sztuczne zapłodnienie. Tego typu zabiegów nie

przeprowadza się w Coronation i młodzi ludzie zwrócili się z tym problemem gdzie indziej. A może zrobiła to tylko Harriet?

Wreszcie wszystko stało się jasne. Oczywiście, Harriet nie mogła wiedzieć, kto był biologicznym ojcem jej dziecka i zapewne nie miałyby to żadnego znaczenia, gdyby Martin żył.

Odkładając na miejsce teczkę z dokumentami, Patrick czuł piekący wstyd. Jego stosunek do Harriet był nikczemny, niczym nie uzasadniony i niewybaczalny. Najwyższy czas do wszystkiego się przyznać i prosić o wybaczenie.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

O co mu chodzi? Nerwowo chwyciła mankiet do pomiaru ciśnienia krwi i szybko okręciła go wokół ramienia pacjenta. Nie będzie reagowała. Zignoruje ten niczym nieuzasadniony nadzór. Umieściła końcówki stetoskopu w uszach, zlokalizowała tętno w okolicach zgięcia stawu łokciowego i zaczęła ścisnąć gumową gruszkę, by napełnić mankiet powietrzem. Nagle zapięcie na rzepy zatrzeszczało i puściło. Harriet westchnęła i zdjawszy mankiet, zaczęła wszystko od nowa. Tym razem udało się jej skoncentrować i umocować mankiet tak, by nie było już niespodzianek.

Łatwo powiedzieć, że będzie go ignorowała, ale jak tu przekonać to głupie ciało, że ma robić to samo? Za każdym razem drżało, tętno gwałtownie rosło, oddech stawał się przyspieszony, a fala gorąca oblewała twarz. Nie mówiąc już o tej kompromitacji przed chwilą, kiedy nie potrafiła zmierzyć ciśnienia. Wszystko przez te nerwy. Kątem oka zauważyła, że Patrick wychodzi z sali, i odetchnęła z ulgą.

Dlaczego on jej tak nie lubi? Może przypomina mu jakąś kobietę, która go skrzywdziła? Może nie akceptuje samotnych matek? Samotnych pracujących matek. A może mu się po prostu spodobała, ale nie godząc się z tym, w ten właśnie sposób się przed nią bronił? Stłumiła śmiech, aby uchwycić moment ści-

szenia tonów, i zerknąwszy na manometr, odnotowała wartość ciśnienia rozkurczowego.

- Jest znacznie lepiej, pani Lake. Sprawdzę jeszcze umocowanie gwoździa i dam pani trochę odpocząć.

Zdumiewała ją także dziwna zmiana w zachowaniu Patricka. Tego ranka, gdy miała wypadek, był w stosunku do niej bardzo agresywny. Wykorzystując swą pozycję, zmusił ją, by przesiadła się do jego auta i odwiózł ją do domu. Potem przez kilka dni wyraźnie jej unikał. Właściwie go nie widywała, jeśli nie liczyć szybkiego zbadania jej zwichniętej kostki. Następnie zdawał się być wszędzie, gdzie ona i, co najdziwniejsze, zdecydowanie za dużo czasu poświęcał na patrzeć na nią. Niekiedy były to tylko ukradkowe spojrzenia, ale ich częstotliwość ją peszyła. Poza tym coś w tych spojrzeniach się zmieniło. Nie było już w nich tak chętnie kiedyś demonstrowanego lekceważenia. Teraz... Harriet pokręciła głową i westchnęła.

- O Boże! - Pani Lake z lękiem spojrzała na stojącą obok pielęgniarkę. - Coś nie w porządku?

- Nie, skądże! - zaprzeczyła Harriet. - Żadnych problemów. Przepraszam, myślałam o czymś innym. - Zwróciła się do odbywającej staż młodej pielęgniarki: - Doskonale ci poszło z tym opatrunkiem, Shelly. Pracuj tak dalej.

Twarz Shelly promieniała.

- Dzięki. Pomogę tylko pani Lake wygodnie się ułożyć i zaraz przyjdę na wykład. Moje koleżanki są już w pokoju.

- Tak myślisz? Wobec tego i ja pójdę.

Długi weekendowy wypoczynek sprawił, że Harriet doszła do siebie. Obrzęk kostki ustąpił i wczoraj mogła już zrezygnować z kul. Być może właśnie dlatego Patrick tak uważnie się jej przyglądał. Nie miała jednak czasu na zastanawianie się. Po

spotkaniu z uczennicami musiała się zająć obowiązkami administracyjnymi, a krótki lunch był okazją do porozmawiania z Sue.

- Maggie nie wygląda dziś na zbyt szczęśliwą - oznajmiła Sue.

- Czyżby Maggie i Luke nie spędzili weekendu w hotelu przyszpitalnym?

Sue pokiwała głową w zamyśleniu.

- Chyba nie poszło tak dobrze, jak się spodziewała.

- Dlaczego?

- Nie chce mówić.

Harriet zmarszczyła brwi.

- Byłam pewna, że sobie poradzą. Ona tak bardzo tego chciała, a on jest taki opiekuńczy. To wspaniała para. Maggie tak dobrze sobie radziła z rehabilitacją. Nie mogę uwierzyć, żeby mogła mieć większe problemy.

- Myślę, że to nie ma nic wspólnego z wysiłkiem fizycznym. Ona mówi, że te wszystkie ćwiczenia w basenie są dla niej za łatwe, że nie stanowią dostatecznego wyzwania.

Harriet uśmiechnęła się.

- To bardzo do niej podobne. - Odstawiła kubek, po czym wstała i wylała resztę jego zawartości do zlewu. - Muszę z nią porozmawiać. Przyjdę na kawę później.

Maggie wyglądała na przygnębioną. Harriet odnalazła ją siedzącą samotnie przed pawilonem z salą gimnastyczną.

- Tak szybko zjadłaś lunch, Maggie? Nie smakował ci?

- Nie byłam głodna.

Harriet usiadła przy Maggie w cieniu drzewa.

- Czyżbyś się dziś nie czuła zbyt dobrze, Maggie? - zapytała z niepokojem.

- Och, czuję się nieźle - odrzekła Maggie, odwracając wzrok. Nagle jej usta zadrżały. - Jeśli mam być szczerą, Harry, to wcale nie czuję się dobrze. Czuję się wprost fatalnie. - I wybuchnęła płaczem.

Harriet pochyliła się nad wózkiem i objęła ją.

- To Luke - łkała Maggie. - On chce... przenieść się do miasta.

Harriet czekała cierpliwie, aż Maggie wytrze twarz bardzo już moką chusteczką. Najwyraźniej nie były to dziś jej pierwsze łzy.

- On uważa, że to dla dobra mojego i dziecka, że tylko w mieście znajdziemy odpowiedni dom i właściwą opiekę.

- Rozumiem, że nie jesteś tym pomysłem zachwycona - rzuciła mimochodem Harriet.

- To okropny pomysł - jęknęła Maggie. - Ten dom, w którym teraz mieszkamy, to urzeczywistnienie naszych marzeń. Czysznz za wynajem jest tak niski, że Luke, pracując w niepełnym wymiarze godzin, jest w stanie nie tylko nas utrzymać, ale jeszcze znajduje czas na pisanie. Jeśli się przeniesiemy do miasta, będziemy musieli kupić dom, a Luke będzie musiał wziąć pełny etat, żeby spłacić hipotekę. Wkrótce obydwójce przeklniemy powrót do miasta. Luke zacznie mnie o wszystko winić. Wydatki na dziecko będą kolejnym powodem do stresów i nawet się nie obejrzymy, jak będzie po rozwodzie! - dramatycznie zakończyła Maggie. - Czarno to widzę, Harry. Ale Luke nie chce o tym słyszeć.

- Może się tylko martwi, jak sobie poradzisz po powrocie do domu.

- Wiem, że się martwi. Myślałam, że wspólny weekend mu udowodni, że nie ma takiej rzeczy, z którą nie dalibyśmy sobie rady. Ja nawet sama wszystko ugotowałam.

- Naprawdę? To wspaniale.

- On zrobił wykaz wszystkich niezbędnych modyfikacji i stwierdził, że nie będziemy mogli ich przeprowadzić, ponieważ nie jesteśmy właścicielami domu. Oszczędzaliśmy, żeby go kupić, ale teraz Luke chce wykorzystać te pieniądze na kupno dla mnie samochodu z ręcznym sterowaniem. Chce harować od dziewiątej do piątej gdzieś w jakimś okropnym biurze, potem wracać do jakiegoś nowoczesnego, ale obrzydliwego domku z szerokimi, przeszklonymi drzwiami i mnóstwem specjalnych poręczy na basenie.

- On to robi dla ciebie, Maggie. Bardzo cię kocha.

- Nieprawda. Gdyby mnie rzeczywiście kochał, wiedziałby, że to fatalny pomysł. Chcę wrócić do domu. Chcę, żeby nic się nie zmieniło.

- Wiesz, że to niemożliwe - spokojnie tłumaczyła jej Harriet. - Wiele się przecież zmieniło. Po pierwsze, uległaś wypadkowi, po drugie, spodziewasz się dziecka. Połącz to razem, a zrozumiesz, jakie to dla was ogromne wyzwanie. - Harriet ponownie ją objęła. - Przecież tak bardzo się kochacie. Stworzyliście rodzinę, o jakiej wielu ludzi może tylko marzyć. Jestem przekonana, że w końcu uda się wam jakoś przez to wszystko przejść.

- Mam nadzieję - westchnęła Maggie. - Luke jest moim wsparciem. Bez niego nie dałabym sobie rady.

- Mój ojciec prowadzi szkółkę drzew - dodała Harriet. - Pomyślałam, że może by się tam znalazła jakaś praca dla Luke' a. To mogłoby wam pomóc rozwiązać wasze sprawy.

- Nie, dziękuję - odparła Maggie. - A przynajmniej nie teraz. Muszę się nad tym wszystkim trochę zastanowić.

- Masz rację - uśmiechnęła się Harriet. - Lepiej zajmę się

swoją pracą. Tonę już w papierach. Zaraz poproszę kogoś, żeby ci przyniósł kanapkę. Z pełnym żołądkiem zdecydowanie lepiej się myśli.

Przez całe popołudnie Harriet była tak zajęta, że o wypiciu kawy mogła jedynie marzyć. Dopiero o czwartej znalazła trochę czasu, by wpaść do pokoju dla personelu. Zamierzała jednak zabrać kawę do swego pokoju i dalej pracować. Wsypała do kubka łyżeczkę kawy, dodała mleko i wrzątek i szybko zamieszala. Gdy zobaczyła wchodzącego do pokoju Patricka, łyżeczka wysunęła jej się z ręki.

- Harriet, cały dzień usiłuję cię złapać!

Spojrzała na niego podejrzliwie. Zbyt blisko niej stał, by mogła się czuć swobodnie. Wciąż miał na sobie zielony strój chirurga, a przez czoło biegła czerwona pręga od dopiero co zrzuconego czepka. Wyglądał na znużonego i... zdeterminowanego.

- Jestem bardzo zajęta. Czy to coś pilnego?

- Uważam, że to ważne. - Patrzył na nią badawczo, jakby chciał odgadnąć, jakiej odpowiedzi może się spodziewać.

- A więc? - zapytała chłodno. Właściwie dlaczego miałaby mu ułatwiać zadanie?

- No właśnie... jak tam twoja kostka?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- W porządku - odrzekła krótko. - Chyba jednak trudno to uznać za sprawę najwyższej wagi. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to... - Chwyciła kubek i odwróciła się gwałtownie.

Zbyt gwałtownie. Kostka, obciążona całodziennym chodzeniem, zbuntowała się. Harriet straciła równowagę i zawartość kubka wylądowała na ubraniu Patricka. Ten zaklął siarczyście, zrywając z siebie fartuch.

- O Chryste! - Harriet chwyciła ściereczkę i odkręciwszy kran, zanurzyła ją w zimnej wodzie. Gdy się odwróciła, Patrick był już rozebrany do połowy. Widziała, jak skóra na jego torsie gwałtownie czerwienieje. Szybko położyła zimny kompres na poparzoną skórę. - O Boże, tak mi przykro - powtarzała. - Ja nie chciałam...

- Już dobrze, Harriet.

Spodziewała się, że będzie wściekły, a tymczasem w jego oczach dostrzegła jakby zachwyt. Wyglądał, jakby nagle osiągnął to, o czym od dawna marzył! Poczowała, jak oblewa ją fala gorąca. Czy jednak ten żar promieniował z jego poparzonej skóry, czy też z dłoni, która dotykała jej ręki?

Odsunęła się trochę i wtedy zauważyła coś, co ją wprawiło w osłupienie. Z boku klatki piersiowej Patricka biegła ogromnych rozmiarów blizna, która kształtem przypominała zygzak błyskawicy. Blizna, którą dobrze знаła, którą tak często widywała w koszmarach sennych. Czowała, że cała krew odpływa jej z twarzy i że jest bliska omdlenia. Zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymała jej silna dłoń Patricka. Po chwili, która wydawała się wiecznością, zmusiła się, by na niego spojrzeć.

- Znam cię - wyszeptała. - Ale skąd?

- Odbierałem Freddiego - odrzekł cicho. - Na plaży.

Czowała zamęt w głowie i kiedy drzwi się otworzyły i pojawiła w nich Sue, odetchnęła z ulgą.

- Wielki Boże, co tu się stało? - zawołała Sue. - Harriet! Jesteś błada jak ściana! Paddy, dlaczego się rozebrałeś?

- Wypadek z filiżanką kawy - odrzekł. - Nic się nie stało. Harriet trochę się przestraszyła, poza tym jej kostka ma dziś dosyć chodzenia. Przebiorę się i odwiozę Harriet do domu.

- Doskonały pomysł - zgodziła się Sue. - W przeciwnym razie będzie pracowała, aż padnie.

Wciąż była biała, gdy Patrick ruszał spod szpitala.

- Dlaczego się nie odezwałeś? - zapytała cicho. - Mój ojciec dawał ogłoszenia do gazet, zwracał się do ciebie nawet przez telewizję. Chciał ci podziękować za uratowanie mi życia.

Patrick wzruszył ramionami.

- Woląłem pozostać w cieniu. Jednak stało się. - Spojrzał na nią z ukosa. - Zaczynałem nowe życie. Ten epizod z tobą wydał mi się doskonałą okazją, aby zamknąć za sobą przeszłość.

Harriet zmarszczyła brwi.

- A obrączka? Czy należy do ciebie?

- To część mojej przeszłości - uśmiechnął się smutno. - Chciałem dać coś Freddiemu od siebie.

- Mamy przecież twoją koszulę - przypomniała mu. - Przechowałam ją. Obrączkę też. To było częścią niezwyklego misterium. Ja... ja niewiele z tego pamiętam.

- Nie jestem tym zaskoczony. - Patrick zatrzymał się na skrzyżowaniu i przyglądał nazwom ulic. - Czy dobrze jadę do przedszkola?

- Tak. Następny blok po lewej stronie.

Freddie był uszczęśliwiony, widząc matkę. Jego radość dotyczyła również Patricka.

- Daddy! - zawołał z zachwytem.

Harriet westchnęła.

- Paddy - poprawiła go ostrożnie.

Wszyscy dorośli wymienili rozbawione uśmiechy. Harriet wyglądała na ogromnie zażenowaną, a na jej blade policzki

znowu wróciły rumieńce. Kiedy znaleźli się na obrzeżach miasta, wskazując ręką na supermarket, zapytała:

- Czy mógłbyś się tu zatrzymać na minutkę? Muszę coś kupić na kolację.

Wprowadził auto na parking i zapytał:

- Na co masz ochotę, Freddie?

- Na rybę i frytki.

- Nie ma mowy! - zaprotestowała. - Nie dziś, Freddie. Nie można tego jadać za często. To nie jest najzdrowsze.

- A co powiecie na frytki pieczone w piekarniku i rybę z grilla? - zapytał Patrick. - Ja wszystko przygotuję.

- O nie! - rzekła.

- Tak! - wołał uradowany Freddie. - Tak, tak, tak!

Patrick zaśmiał się głośno.

- Zostałaś przegłosowana, Harriet. Poza tym, jako twój konsultant medyczny - dodał z powagą - nalegam, żebyś pozwoliła swojej kostce odpocząć. Za chwilę wracam.

Kiedy piętnaście minut później dotarli do domu, Patrick przeszedł do małej kuchni z zakupami, a Harriet oznajmiła, że musi wykopać Freddiego. Zanim wyszła z łazienki, do domu wrócił już ojciec.

- Zdecydowałem się, Harry! - wołał od drzwi. - Przyjąłem ich ofertę.

- Naprawdę? - Pospieszyła do holu, by się z nim przywitać.

- To była zbyt dobra oferta, żebyśmy mogli ją zlekceważyć.

Będę mógł pomóc Marilyn i zachować moją szkółkę drzew.

- Ależ to oznacza, że... - Chciała powiedzieć, że teraz jego firma będzie się znajdowała w zupełnie innej części kraju, lecz słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła, jak bardzo ojciec jest uradowany. - To wspaniała wiadomość, tatusiu.

- Oczywiście, że wspaniała. Przyniosłem szampana, żeby to uczcić. Cóż to za wspaniały zapach?

- Kolacja - odparła Harriet i John, nie czekając na dalsze wyjaśnienia, zajął do kuchni.

- Paddy! Co za miła niespodzianka. Pomożesz nam uczcić pewną okazję.

Harriet podczas kolacji siedziała w zamyśleniu, otoczona samymi mężczyznami. Najmłodszy był tak zmęczony, że prawie zasnął nad talerzem, a czworonożny spał z łbem opartym o jej stopy. Dopijała szampana, podczas gdy ojciec wciąż opowiadał Patrickowi o swojej firmie, która zajmowała się uprawą i prowadzeniem ogromnych drzew.

W końcu Harriet podniosła się.

- Przepraszam, ale muszę położyć Freddiego spać - powiedziała.

Była zadowolona, że może uciec. Wciąż w myślach wracała do tamtych wydarzeń sprzed lat. Zupełnie nie pamiętała Patricka, podczas gdy on tyle mógł o niej powiedzieć. Znał jej tajemnice. Zawdzięczała mu nie tylko swoje życie, ale i Freddiego, a wciąż jeszcze mu za to nie podziękowała.

Wiedziała, że powinna powiedzieć ojcu o tym, co wiązało Patricka z jej przeszłością, bała się jednak wracać do przykrych wspomnień. John jest taki szczęśliwy, tyle ma planów na przyszłość. W końcu przy kawie, uznając moment za zupełnie nieodpowiedni, po raz trzeci wymówiła się od obowiązku dotrzymania towarzystwa Patrickowi.

- Muszę podać rośliny w pałacu - wyjaśniła. - Jeszcze raz dzięki za kolację, Patrick.

- W pałacu? - zdziwił się.

- Tak Freddie nazywa dom właściciela. Sądzę, że to wpływ

bajek, których tak chętnie słucha. Tak czy owak, Gerry Henley ma ogromną kolekcję pokojowych roślin tropikalnych i ja się nimi opiekuję, kiedy wyjeżdża.

- Ja to zrobię - zaproponował John, wstając.

- Nie ma mowy! - Harriet uśmiechnęła się do ojca. - Lepiej zadzwoń do Marilyn i przekaz jej dobrą nowinę.

- Czy mogę z tobą pójść? - zapytał Patrick. - Wprawdzie John pokazał mi dom z zewnątrz, ale chętnie skorzystam z okazji i zobaczę go w środku.

Otworzyła masywne frontowe drzwi, wyłączyła system alarmowy i zapaliła światła. Patrick podziwiał ogromny hol i imponujący łuk schodów otoczony zdobioną balustradą.

- Rozejrzyj się trochę. Gerry z pewnością nie miałby nic przeciwko temu - zaproponowała. - Ja tymczasem przejdę do oranżerii, która jest tam, za salonem.

Oranżeria biegła wzdłuż jednej ze ścian ogromnego domu i Gerry wydał majątek na jej urządzenie. Bujnie rosnąca tropikalna roślinność, powietrze przesycone parą wodną doprowadzaną specjalnymi rurami z ogromnego basenu, rattanowe meble rozstawione pod parasolami tropikalnych drzew, gustowny barek dyskretnie ukryty wśród zieleni - to wszystko tworzyło zupełnie inny świat, taki mały skrawek dżungli, gdzie zawsze można było znaleźć schronienie. Harriet trochę tej oranżerii Gerry'emu zazdrościła, ale najczęściej cieszyła się, że może tu bywać.

Skontrolowała działanie urządzeń zraszających, skład chemiczny oraz temperaturę wody w basenie i skierowała się do wyjścia. Patrick siedział na schodach w głównym holu i sprawiał wrażenie zamyślnego.

- Czy chcesz zobaczyć oranżerię? - zapytała.
- Już widziałem - odparł z uśmiechem. - Obserwowałem przez drzwi, jak pracujesz w tej dżungli.

Na myśl, że patrzył na nią, kiedy zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy, poczuła niepokój. O czym wtedy myślał? Weszła na schody i usiadła na stopniu obok Patricka.

- Niesamowity dom, prawda?
- Rzeczywiście, niesamowity - przyznał. - Czy ten facet mieszka tu sam?

Skinęła głową.

- Co za marnotrawstwo - mruknął. - Powinna tu mieszkać duża rodzina, przynajmniej z pół tuzina dzieciaków i kilka wielkich psów.

Obydwoje spojrzeli na Murphy'ego, który leżał, zajmując prawie cały podest przy schodach. Serce Harriet zabiło mocniej, gdy pomyślała, że to jest właśnie ta okazja, na którą od dawna czekała.

- Wiem, że nie masz o mnie najlepszego zdania...
 - Kto ci to powiedział?
 - Ty. Widzę to za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz.
- Odetchnęła głęboko. - Ja... ja jeszcze nie zdążyłam ci podziękować. - Jej głos zadrżał. - Zawdzięczam ci życie moje i Frediego,

Patrick położył dłoń na jej dłoni.

- Nie musisz mi dziękować - powiedział. - Byłem szczęśliwy, że znalazłem się we właściwym czasie na właściwym miejscu.

Gdy uniosła nieco głowę, w jej oczach widać było cierpienie.

- Niczego nie pamiętam, ale prześladowają mnie koszmary.

Czy mógłbyś... czy zechciałbyś mi powiedzieć, co się wtedy wydarzyło? Co tak naprawdę pamiętasz?

Patrick milczał.

- To mogłoby mi pomóc - szepnęła. - Może zniknęłyby te potworne sny.

- Nie mam wiele do powiedzenia - odparł. - Zaczęłaś już rodić, kiedy cię znalazłem. Bardzo krwawiłaś. Zdawałem sobie sprawę, w jakim jesteś stanie... i do tego jeszcze ta świadomość, że dookoła nie ma żywej duszy.

Harriet skinęła głową.

- Spodziewałam się porodu za jakieś cztery tygodnie. Oczywiście, powinnam była wykazać więcej rozsądku, nawet w sytuacji, w jakiej o ten rozsądek tak trudno.

- O jakiej sytuacji mówisz? - zapytał, ujmując jej dłoń.

- Martin, mój mąż, umarł dwa tygodnie przed przyjściem Freddiego na świat. Martin pochodził z Auckland, tak samo zresztą jak i ja, i tam odbył się jego pogrzeb. Zatrzymałam się wtedy u ojca na kilka dni, potem wróciłam do domu. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzałam po wejściu do holu, był fotel Martina. Pusty - dodała łamiącym się głosem. - Przerażliwie pusty. Nie mogłam tego znieść. Wsiadłam z powrotem do samochodu i ruszyłam, nie zastanawiając się dokąd. Po pewnym czasie zorientowałam się, że jestem na szosie wzdłuż zachodniego wybrzeża. Moja przyjaciółka ma w tej okolicy dom letniskowy. Bywałam tam wielokrotnie i wiedziałam, gdzie przyjaciółka trzyma klucz. Zupełnie nie potrafiłam wtedy racjonalnie myśleć. Chciałam tylko od wszystkiego uciec.

- Rozumiem. Boże, jakże ja to rozumiem...

- Naprawdę? Nikt inny nie rozumiał. Zapewniałam wtedy troszczących się o mnie przyjaciół, że wszystko jest w porządku

i że zanim dziecko przyjdzie na świat, dojdę do siebie. Jednak oni uważali, że powinnam być wśród ludzi i czymś się zająć, żeby nie mieć czasu na myślenie.

- Tak samo było ze mną, kiedy moja żona, Elizabeth, zginęła w wypadku samochodowym.

- To stąd masz te obrażenia?

Ponuro skinął głową.

- Prowadziłem wtedy. Kiedy pokonałem zakręt, zderzyłem się czołowo z samochodem cudzoziemców, którzy jechali niewłaściwą stroną drogi. Musiałem się uporać z poczuciem winy, chociaż to nie ja spowodowałem ten straszny wypadek. Wciąż czuję się winny.

- Wiem. To samo czułam po śmierci Martina.

- Jak mogłaś się obwiniać za jego śmierć?

- Cierpiał na ciężką niewydolność nerek. Liczyliśmy na przeszczep, ale były kłopoty ze zdobyciem nerki. Chciałam mu oddać swoją, ale okazało się, że to niemożliwe, ponieważ jestem w ciąży. Wtedy zniechęciłam nawet to dziecko - rzekła cicho.

- Dopóki żył Martin, starałam się o tym nie myśleć, ale kiedy umarł, zupełnie się załamalam. Wydawało mi się, że nawet moje ciało mnie zdradziło. Ja jestem jedynaczką. Nigdy nie chciałam tego dla mojego dziecka. Marzyłam o dużej rodzinie, z dwójkiem kochających rodziców.

Patrick ponownie pokiwał głową.

- To wiele wyjaśnia. Oprócz ciągłego powtarzania, że bym cię zostawił, powiedziałaś, że nie chcesz tego dziecka.

- O Chryste, jak to możliwe? - Była wstrząśnięta.

- Powiedziałaś też, że nie masz najmniejszego pojęcia, kto jest ojcem dziecka.

- Cóż, szczerze mówiąc, to prawda. Martin nie mógł mieć

dzieci. W końcu zdecydowaliśmy się na sztuczne zapłodnienie. W ten sposób dziecko ma geny przynajmniej jednego z rodziców. - Harriet zagryzła wargi. - Musiałeś myśleć, że jestem niemoralną kobietą i wyrodną matką. I trudno się temu dziwić.

- Zabolalo mnie to - przyznał. - Nawet bardzo. Elizabeth była w ósmym miesiącu ciąży, kiedy zdarzył się ten wypadek. My również marzyliśmy o dużej rodzinie.

- Tak mi przykro.

Spojrzał na Harriet spod oka.

- Nie uważasz, że wiele nas łączy? Obydwoje dobrze wiemy, co to ból po stracie kogoś bliskiego. Po stracie marzeń. Podejrzewam, że oboje też postanowiliśmy nie wiązać się z nikim, w obawie, że dramat się powtórzy.

Harriet kiwała w milczeniu głową. Jak dobrze wiedzieć, że jest ktoś, kto nas rozumie, kto nie powtarza banałów, że czas jest najlepszym lekarzem i że nie można się załamywać.

- Zmieniłeś zdanie o mnie - zauważyła, zaskoczona, jaką ten fakt sprawił jej radość.

- Zmieniłem, kiedy lepiej cię poznałem i nawet nie wiesz, jaki jestem szczęśliwy, że się myliłem.

- Ja także dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak mało o tobie wiedziałam, i też bardzo się cieszę, że się myliłam. Jakie to szczęście, że to ty mnie znalazłeś na tej plaży.

Nagle zaczerwieniła się i wysunawszy rękę z dłoni Patricka, pospiesznie wstała.

- A więc jesteśmy przyjaciółmi! - rzekł Patrick, podnosząc się również.

Harriet zeszła kilka stopni w dół, po czym odwróciła się i uśmiechnawszy się z niedowierzaniem, powiedziała:

- Mimo wszystko zaczynam cię lubić, doktorze Miller.
- Myślę, że ja też zaczynam cię lubić, Harry. - Obserwując, jak Murphy, dźwignąwszy się z podłogi, rusza za Harriet, Patrick dodał cicho: - Myślę, że zaczynam cię nawet bardzo lubić, Harriet.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Czy chcesz powiedzieć, że Paddy jest tym tajemniczym lekarzem? Tym, który uratował Harriet? Naprawdę?

Tę wiadomość wkrótce przekazywano sobie z ust do ust.

Harriet powiedziała o tym jedynie Sue, a Sue zupełnie niechętnie wygadała się przed Peterem. Peter nigdy nie był gadułą, a mimo to cała historia dotarła jakoś do Maggie Baxter, a ta, nie mając już żadnych oporów ogłosiła wszem i wobec, że jej położnik jest już niepotrzebny, ponieważ jej chirurg ortopeda w każdej chwili może odebrać poród.

Patrick wszelkie na ten temat uwagi i żarty znosił ze stoickim spokojem i kiedy Harriet przy najbliższej okazji zaczęła go przepraszać, powiedział ze śmiechem:

- Czy wiesz, że skoro uratowałem ci życie, mogę cię uważać za swoją niewolnicę?

- Tak, Maggie też tak twierdzi. - Harriet siedziała na krześle w pokoju Patricka. Jej but leżał na podłodze, nogawka spodni była podwinięta aż do kolana, a stopa spoczywała w jego dłoniach. - Chyba uważa, że to doskonały pomysł.

- Ja też uważam, że wcale nie jest zły - rzekł Patrick z poważną miną i odgiął palce Harriet w swoją stronę. - Spróbuj nimi poruszyć.

Gdy wykonała jego polecenie, skinął głową z zadowoleniem.

- Uważam, że wszystko jest w porządku, ale w najbliższym czasie musisz bardzo uważać.

- Postaram się - obiecała, poruszając palcami. - A propos, co w dzisiejszych czasach robią niewolnice?

- Myślę, że, biorąc pod uwagę twoje zdyscyplinowanie, moglibyśmy obejść się bez kajdan - oznajmił z poważną miną, wciąż trzymając jej stopę. - Ale będę miał na ciebie oko.

Harriet roześmiała się.

- Oczywiście gotują, sprzątaj, otwierają drzwi, noszą bagaże, odbierają telefony i wachlują. Bardzo intensywnie wachlują. Liśćmi palmowymi - wyjaśnił. - Z wdziękiem. I codziennie podają śniadanie do łóżka. Mogę zrobić jeden tylko wyjątek w dniu Bożego Narodzenia.

- To bardzo wspaniałomyślne. - Pomysł podawania Patrickowi śniadania do łóżka nie budził w niej protestu. - Czy śpisz w piżamie? - spytała nieoczekiwanie.

- Nie. - Oczy Patricka utonęły w jej oczach, jego ręka wolno przesunęła się wzdłuż jej łydki. - A teraz przejdę do ważniejszych obowiązków niewolnicy.

Dotyk jego dłoni sunącej wzdłuż jej ciała sprawił, że nie była w stanie rozsądnie myśleć. Czyżby ich relacje tak bardzo zmieniły się w ciągu tych dwóch tygodni?

Patrick uważnie ją obserwował. Nie mógł nie zauważyć jej reakcji. Jego dłoń zatrzymała się na chwilę, na tyle jednak długą, iż Harriet nie miała już wątpliwości, dlaczego nie mogła pozbiierać myśli.

- Mam jednak wiele chętnych na tę posadę. - Podniósł stopę Harriet i delikatnie postawił ją na podłodze. - W każdym razie zawiadomię cię, co postanowiłem.

- Dobrze. - Harriet odchrząknęła, starając się pozbyć kom-

promitującej chrypki w głosie. - A ja tymczasem popracuję nad moimi umiejętnościami w wachlowaniu.

- Dobry pomysł! - Patrick uśmiechnął się szeroko. - Nie zapomnij o ćwiczeniu tej nieszczęsnej kostki. Spróbuj trochę popływać.

Harriet skinęła głową.

- Postaram się znaleźć po pracy trochę czasu na popływanie w basenie do hydroterapii.

Patrick spojrział na nią z zaciekawieniem.

- Czy korzystasz z tego bajkowego basenu, który mi ostatnio pokazałaś?

- Niezbyt często, chociaż Gerry upoważnił mnie do tego. Ten ogromny pusty dom trochę mnie przeraża. Czasem mam nawet wrażenie, że coś na mnie patrzy zza palmowych drzew.

- No właśnie! - Oczy Patricka zaśmiały się. - Przecież palmy mają liście!

- Naturalnie. Ogromne liście. To duże drzewa.

- Mam nadzieję, że czasem któryś opada. Sprawdź przy najbliższej okazji.

- Po co?

- Żeby potrenować wachlowanie. - Pokręcił głową z dezaprobatą. - Doprawdy, Harriet, widzę, że nie potraktowałaś nauki obowiązków niewolnicy zbyt poważnie!

- Przepraszam. - Harriet stłumiła śmiech. - Może więc przyjdiesz i sam go sobie wybierzesz-zasugerowała.-Jestem ci winna kolację, a tata wprost nie może się doczekać, żeby osobiście ci za wszystko podziękować. - Nagle jej głos spoważniał. - Chodzą mu po głowie różne pomysły, w jaki sposób wyrazić ci naszą wdzięczność.

- Jakie pomysły? - zainteresował się Patrick.

- Och, chce na przykład wmurować na twoją cześć tablicę pamiątkową albo wydać przyjęcie albo podarować ci pierwszy ząb Freddiego... Oczywiście wtedy, gdy mu wypadnie - dodała pospiesznie.

- A niewolnice?

- O tym nie było mowy. - Nigdy nie przypuszczała, że Patrick ma takie poczucie humoru. Dawno już tak serdecznie się nie uśmieła.

- Zanedbujesz się, Harry - skarcił ją. - Muszę chyba porozmawiać z twoim ojcem. Czy mam wziąć coś do przebrania?

- Słucham?

- Mogę wpaść do basenu, kiedy zaczniemy na te liście polować.

- Och... Tak, oczywiście, przynieś.

- Kiedy więc?

Szybko zrobiła w myślach przegląd lodówki. Dzień wcześniej robiła właśnie zakupy.

- Może dziś? - Czy nie za bardzo się pospieszyła? - Tata wyjeżdża do Auckland za kilka dni. Chce porozmawiać z Marilyn o umowie, którą niedawno podpisał.

- A więc dziś wieczorem. Będę czekał z niecierpliwością. Uśmiechnął się do niej, gdy opuszczała jego pokój. Przez

dwa tygodnie gorączkowo zastanawiał się, jak się z nią umówić

prywatnie. W szpitalu toczyli bardzo interesujące rozmowy na różne tematy, od spraw zawodowych począwszy, a na polityce skończywszy. Jednak obydwójce instynktownie unikali poruszania w nich spraw zbyt osobistych.

Harriet była bardzo atrakcyjna. Patrick zauważył to już wtedy, gdy był przekonany, że jej zasady moralne pozostawiają wiele do życzenia. Teraz wiedział, że się mylił i przeszkoda, by

ulec jej czarowi, już nie istniała. Pierwszy raz od śmierci Elizabeth, a właściwie pierwszy raz w życiu, tak się czuł. Nie spodziewał się, że długo tłumione pożądanie wybuchnie z taką siłą.

Jednak Harriet obawiała się ryzyka. Wszystko wskazywało na to, że przyjaźń w pełni ją satysfakcjonowała. Patrick podziwiał jej entuzjazm i zaangażowanie w pracy, współczucie, wrażliwość i troskę o innych. Poza tym była osobą niezwykle sympatyczną.

Miła. Idealny kumpel. Idealny przyjaciel. Przypomnił sobie, jak jego ręka przesuwiała się po jej nodze i jak ciężko mu było się powstrzymać, by ta ręka nie powędrowała wyżej, aż do wewnętrznej strony ud, gdzie, jak pamiętał, skóra była tak niewiarygodnie jedwabista.

Czy to szok spowodował, że jej źrenice tak nagle się rozszerzyły, a puls gwałtownie wzrósł? Być może wkrótce się o tym przekona. Może nawet już dziś.

- Jak sądzisz, dlaczego Paddy trzyma ten ogromny liść palmy w swoim pokoju?
- Nie mam zielonego pojęcia, Sue - gładko skłamała Harriet. - Chciałaś mi coś powiedzieć?
- Denise Dobson jest na obserwacji neurologicznej.
- Przyjęta na oddział dziś rano?
- Niestety. - Sue skrzywiła się. - Doznała paskudnych obrażeń, gdy samochód, w którym jechała, uderzył w tył innego samochodu. Jej pas bezpieczeństwa utrzymał szyję, ale nie zabezpieczył głowy. Prawdopodobnie musiała patrzeć wtedy w lusterko i malować usta czy coś w tym rodzaju. Dwa kręgi szyjne, drugi i trzeci, uległy złamaniu. Wiesz, zapytałam Paddy'ego o ten liść. - Sue ponownie zmieniła temat.

- Tak? I co powiedział? - spytała Harriet obojętnie.
- Że ten liść ma znaczenie symboliczne. I miał przy tym dosyć tajemniczy wyraz twarzy. Patrick ostatnio bardzo się zmienił. Ciągle się śmieje i żartuje. Rozmawiałam o tym z Peterem i wiesz, on doszedł do wniosku, że Patrick się zakochał.

Harriet nie miała odwagi spojrzeć Sue w oczy. Nerwowo przesunęła papiery na biurku i szybko wstała.

- Lepiej sprawdzę, co u pani Dobson - powiedziała. - Dlaczego przed chwilą użyłaś słowa „niestety”?

- Tak powiedziałam? - Sue wyglądała na zakłopotaną. - Myślę, że to wspaniale. Paddy, odkąd sięgam pamięcią, nigdy się nie interesował żadną kobietą i nie dlatego, że nie miał okazji. Robił na mnie wrażenie samotnika i...

- Mówiłam o Denise Dobson. - Harriet z uśmiechem przerwała przyjaciółce. - Użyłaś słowa „niestety”, mówiąc ojej dzijsiejszym przyjęciu do szpitala. Dlaczego?

- Och, sama się przekonasz. - Sue spojrzała na zegarek. - Jest na obserwacji, a kolejny odczyt już za pięć minut. Idę potrzymać pana Jensena za rękę przed cystometrią. Chcą mu zrobić urodynamikę moczu i on bardzo się tego boi.

Harriet miała wyrzuty sumienia, że nie wyjawiała Sue prawdy. Powinna to zrobić, ale jeszcze nie teraz. Było coś fascynującego w ukrywaniu takich wyjątkowo osobistych spraw. To tak jak z wiadomością, że nosisz pod sercem nowe życie. Miną długie tygodnie, zanim zdecydujesz się ujawnić ją światu.

Denise Dobson była jedyną pacjentką na oddziale, ponieważ pan Jensen został już przeniesiony na urologię.

- Denise? Witaj, jestem Harriet. Przyszłam sprawdzić, jak się czujesz.

- Okropnie. Wszystko mnie boli i nie mogę się ruszyć.

- Tak? - Harriet odnotowała, że mowa Denise jest wyraźna, źrenice reaktywne, a ciśnienie krwi i bicie serca w normie. Ujęła jej dłoń. - Uściśnij mi rękę, Denise.

Uścisk palców kobiety był słaby.

- Spróbuj zrobić to tak mocno, jak tylko potrafisz - zachęcała ją Harriet.

Siła palców dramatycznie wzrosła, gdy Denise zaczęła rozpaczliwie szlochać.

- Mam czworo dzieci - łkała. - Jak dam sobie radę, jeśli będę skazana na wózek inwalidzki?

- Po to tu jesteś, żeby tak się nie stało - uspokajała ją Harriet, odnotowując jednocześnie, że uścisk drugiej ręki pacjentki jest równie silny. - Takie złamania jak twoje, gdy kości wrócą na swoje miejsce, szybko się zrastają. Po sześciu tygodniach wyciągu założymy ci kołnierz usztywniający kręgi szyjne i wrócisz do domu.

- Sześć tygodni! - jęknęła Denise, choć perspektywa opuszczenia szpitala na własnych nogach, a nie na wózku, poprawiła nieco jej nastrój. - Mój mąż, jeśli chodzi o prace domowe, jest zupełnie do niczego. Co mam zrobić?

- Jeśli będzie potrzebna pomoc, wyślemy do ciebie jednego z naszych pracowników socjalnych.

- Pracownika socjalnego! Nie ma mowy. - Denise mocno zacisnęła usta. - Nie potrzebuję, żeby ktoś obcy wtykał nos w moje sprawy.

- A jak tam twoje ramiona?

- Gorzej. Poza tym nie mogę w ogóle ruszać nogami. Nawet nie czuję, że je mam.

Harriet odsłoniła stopy Denise, następnie podrapała je pod spodem, obserwując jednocześnie reakcję palców.

- Przestań! - zawołała Denise, odsuwając stopę.
- Czy twój mąż przyjdzie dziś do ciebie? - zapytała Harriet, poprawiając pościel.
- Nie wiem.
- Czy chcesz, żebym do niego zadzwoniła?
- Zrób, jak uważasz.

Harriet skończyła wpisywanie wyników do karty i uśmiechnęła się do Denise. Jakie to szczęście, że ma taki dobry nastrój, inaczej trudno by jej było zdobyć się na serdeczność wobec tak uciążliwej pacjentki.

- Spróbuj teraz odpocząć, Denise. Podczas przerwy na lunch zrobimy ci jeszcze jedno prześwietlenie, a później przyjdzie do ciebie doktor Miller. Zadzwon, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Przycisk masz pod ręką.

Brzęczyk odezwał się, zanim Harriet zdążyła zrobić kilka kroków. Harriet spojrzała wymownie na Petera, który robił porządek w szafce pana Jensena.

- Na ciebie kolej, Peter. Ja muszę się przygotować do ostatniego spotkania z uczennicami.

Po powrocie do swego pokoju Harriet usiadła przy biurku. Jednak zamiast czytać uwagi Shelleya na temat komplikacji występujących przy urazach rdzenia kręgosłupa, kreśliła tylko esy-floresy na leżącej przed nią kartce papieru. Po jej twarzy błędził uśmiech, a myśli zdawały się być zajęte czymś zupełnie innym.

Wszystko zaczęło się dwa tygodnie temu od zaproszenia Patricka na kolację, wspólnego pływania w basenie i zwyczajnego pocałunku na zakończenie wieczoru. A jednak nie był to taki całkiem zwyczajny pocałunek.

Czy Patrick od początku go pragnął? Odnosiła wrażenie, że

nie. I chociaż wiedziała, że obydwójce pragną czegoś zupełnie innego, to jednak miała wątpliwości, czy ten drugi, bardzo już namiętny pocałunek, rozbudził go w takim samym stopniu jak ją. To przecież on pierwszy się od niej odsunął, to on rozluźnił duszną od seksu atmosferę żartami o wachlarzu z palmowych liści i to on zasugerował, by wracali, zanim ojciec zacznie myśleć, że się utopili.

Harriet była zaskoczona zarówno siłą swoich reakcji, jak i zaskakującym opanowaniem Patricka. W ciągu następnych dni starała się zachowywać tak, jakby się nic nie wydarzyło, ale wewnętrzne napięcie, jakie tym wysiłkom towarzyszyło, stało się w końcu nie do wytrzymania. Kolejne nie przespane noce jasno jej uświadomiły, czego pragnie. Czego jednak pragnął on? Jej następne zaproszenie na kolację było już czytelną deklaracją, że tym razem chodzi o coś więcej niż wspólny posiłek.

- Czy twój ojciec nie wyjechał dziś czasem do Auckland?
- zapytał Patrick od niechcienia.

Harriet wolno skinęła głową.

- O której mam przyjść?

Jeśli nawet Freddie był rozżalony pośpiechem, z jakim położono go tego wieczoru do łóżka, to z pewnością pocieszyła go opowiedziana mu przez Patricka historyjka o mieszkającym w pałacu małym, ciemnowłosym chłopczyku, który miał ogromnego psa. Pies był prawie tak duży jak koń i można było na nim jeździć.

Jednak Murphy nie dał się tak szybko ugłaskać, gdy trochę później tuż przed nosem zamknięto mu drzwi do sypialni. Po raz pierwszy Harriet nie zareagowała na głośne dobijanie się czworonożnego ulubieńca i nie wpuściła go do środka. Właściwie niczego nie słyszała od chwili, gdy dłonie i usta Patricka

dotknęły jej ciała. Ich pierwsze spełnienie było żywiołowe, prawie desperackie.

- Boże! - westchnął potem Patrick. - Już zapomniałem, jakie to może być cudowne. Kocham cię, Harriet.

- Ja także cię kocham - szepnęła.

Znowu zaczęli się kochać, tym razem rozkoszując się każdą chwilą. Nigdy nie przypuszczała, że może być aż tak cudownie. Nigdy się nie kochała z kimś tak samo sprawnym fizycznie jak ona. Potrafiła dać rozkosz i otrzymywała ją w zamian. Kochali się żarliwie i nieprzytomnie. Może nawet tego nie chcieli, ale mimo to tak się stało. Przyszłość pokaże, jakie będą tego konsekwencje.

Rano Patrick odjechał, zanim Freddie zdążył się obudzić. Malec był uszczęśliwiony, gdy następnego wieczoru Patrick, kładąc go spać, ciągnął zaczęłą poprzedniego dnia opowieść. I tak było przez kolejne wieczory i nawet się nie zdziwił, gdy któregoś ranka zobaczył Patricka przy śniadaniu. Nawet Murphy zdawał się wybaczyć intruzowi, gdy otrzymał ogromną, smakowitą kanapkę.

Harriet ponownie usiłowała się skupić nad leżącymi przed nią notatkami.

„Porażenna niedrożność jelita to brak normalnej perystaltyki w jelicie cienkim - czytała. - Gromadzenie się płynów i gazów w ostrych stanach może nawet spowodować poważne zakłócenia czynności oddechowych”.

Zaznaczyła fragment tekstu i zaczęła go czytać ponownie, gdy nagle usłyszała pukanie do drzwi.

- Paddy! - ucieszyła się. - Wejdz, proszę.
- Nie mogę. Są już wyniki prześwietlenia Denise.
- Czy przemieszczenie ustępuje?

- Nic na to nie wskazuje. Musimy zwiększyć siłę ciągu. Potrzebna będzie kontrola neurologiczna co pół godziny, począwszy od tej chwili. Powtórzmy rentgen wieczorem.

- Denise nie będzie tym zachwycona - zauważyła Harriet, starając się ukryć, o czym naprawdę myślała.

- Czy twój ojciec czasem nie zmienił daty powrotu?

- Niestety, nie - odrzekła ze smutkiem. - Uważa, że i tak za bardzo przedłużył swój pobyt w Auckland. Wyjechał na dwa, najwyżej trzy dni, a przecież minęło już dziesięć. Dziś wieczorem odbieram go z lotniska.

Patrick zniżył głos.

- Rzeczywiście, minęło już dziesięć dni? Nigdy nie sądziłem, że czas może tak szybko płynąć.

-, Podobno czas szybko płynie, kiedy się kochasz.

- Będę dziś w nocy za tym tęsknił - wyszeptał.

- Ja również - odparła Harriet, słysząc pukanie do drzwi zgłaszających się na wykład uczennic. - Dzięki, Patrick. Będę o tobie myślała.

- Trzymam cię za słowo. Ucałuj ode mnie Freddiego.

Odebrała syna późnym popołudniem. Uśmiechnęła się, widząc, jak tuli do siebie zwiniętą w kłębek koszulę. Freddie nie rozstawał się z nią od chwili, gdy tydzień temu ona i Patrick opowiedzieli mu, jaką rolę odegrała ta koszula w jego przyjsciu na świat.

Malec wyciągnął wtedy rączki i zawołał:

- To Daddy dał Freddiemu!

Od tej pory koszula stała się przytulanką chłopca. Spał z nią, zabierał do przedszkola i ciągnął za sobą, kiedy się bawił przed domem. Po kilku dniach ta oryginalna przytulanką wymagała

porządnego prania. Harriet musiała mu delikatnie wyciągnąć ją z rąk podczas snu i czystą i suchą położyć na miejsce, zanim Freddie się obudzi. Personel przedszkola ze zdziwieniem obserwował dziwne zachowanie chłopca, ale Harriet szybko się do tego przyzwyczaiła. Zaczęła się nawet przyzwyczajać do tego, że jej syn mówi do Patricka „Daddy”.

Z powodzeniem mógł być jego ojcem. Obydwaj mieli takie same ciemne kręcone włosy i takie same brązowe oczy i Patrick traktował go jak własnego syna. Freddie uwielbiał go, a Patrick wykazywał anielską cierpliwość, odpowiadając na nie kończące się pytania, kąpiąc go, kładąc do łóżka i opowiadając bajki.

Ostatnie dziesięć dni minęło jak sen. Było cudownie, ale Harriet wiedziała, że wraz z powrotem jej ojca wszystko się skończy. Nie będzie już zabawy w szczęśliwą rodzinę. Trzeba wracać do rzeczywistości, do czegoś, co było bezpiecznym i szczęśliwym status quo. Dotychczas nie miała wątpliwości, że takie życie jej odpowiada. Teraz nawet radość z powrotu ojca nie przytłumiła tęsknoty za Patrickiem. John Peterson był zmęczony, ale wyglądał na szczęśliwego.

- Mam dla ciebie kilka niespodzianek - oznajmił, kiedy Freddie poszedł już spać.

- Uratowałaś firmę?

- Tak. - Ojciec uśmiechnął się szeroko. - Ale to jeszcze nie wszystko!

- Ty i Marilyn? - Harriet uśmiechnęła się domyślnie.

- Dziesięć spędzonych wspólnie dni sprawiło, że nagle uświadomiliśmy sobie, kim dla siebie jesteśmy. Poprosiłem Marilyn, żeby za mnie wyszła, i ona się zgodziła.

- Bardzo się cieszę! - Harriet zarzuciła mu ręce na szyję i mocno uścisnęła.

- Myślałem, że będziesz zaskoczona. Dziesięć dni to niezbyt długi okres do podjęcia takiej decyzji.

- Przez lata byliście dobrymi przyjaciółmi - zauważyła. - A moim zdaniem dziesięć dni to aż nadto, żeby się przekonać, czy się naprawdę kochacie. - Mogę coś o tym powiedzieć, dodała w myślach. - Naprawdę jestem z tego powodu bardzo szczęśliwa.

Była szczęśliwa. Wszystko jakoś zaczęło się układać. Tego wieczoru usiłowała zepchnąć Murphego z łóżka, ale jej wysiłki spełzły na niczym, a może po prostu nie były zbyt energiczne. Ogromne łóżko byłoby tej nocy takie puste.

Zastanawiała się, czy Patrick też czuł się samotny. Czy tak samo jak ona tęsknił do pieczyt i ciepła ukochanej osoby. Jakże się myliła, sądząc, iż nigdy już nie będzie w stanie kogoś pokochać. Nawet nie zauważyła, kiedy jej rany się zabiły. Teraz dopiero dotarła do niej jedna z najbardziej banalnych prawd.

Miłość to coś, co sprawia, że warto żyć. Na tym właśnie polega życie. Kochała Freddiego, swojego ojca i... Murphy'ego. Teraz kochała jeszcze Patricka. To była oczywiście zupełnie inna forma miłości, jednak bez niej jakże ubogie byłoby życie!

Ojciec wstał tego ranka znacznie wcześniej niż Harriet. Wyraźnie ubyło mu lat i tryskał nadzwyczajną energią.

- Mam dzisiaj dużo pracy - oznajmił. - Gerry wraca w poniedziałek, chcę więc, żeby ogród wyglądał bez zarzutu. A jak tam w jego domu?

- Nie byłem tam od kilku dni - usprawiedliwiała się Harriet. - Nadrobię to w weekend. - Chwyciła biegnącego obok Freddiego. - Czas na śniadanie, młody człowieku.

- Naleśniki? - zapytał John.

- Nie, grzanki - z powagą odrzekł malec, kładąc obok talerza flanelową koszulę. - Daddy zawsze je grzanki na śniadanie.

Twarcz Harriet oblał rumieniec. John spojrział na nią ze zdumieniem, jednak szybko się opanował.

- Naprawdę? - mruknął. - Niech będą więc grzanki.

- Proszę do mnie na słówko, siostrzko McKinlay - rzucił Patrick, mijając Harriet na korytarzu.

- O co chodzi?

Zamknął za nią drzwi i przyciągnął do siebie.

- O to chodzi - szepnął, obsypując ją pocałunkami. - Boże, jak ja strasznie za tobą tęskniłem. Czy w nocy czułaś się tak samo samotnie jak ja?

- Myślę, że nie - odparła z przesadną powagą. - Ja miałam towarzystwo - dodała, patrząc na niego spod oka.

- Co takiego? - Spojrział na nią groźnie.

- Murphy narzucał mi się ze swoją czułością - roześmiała się. - A Freddie powiedział ojcu, że zawsze jesz grzanki na śniadanie.

- O nie! I co on na to?

- Właściwie nic. Ma inne sprawy na głowie. On i Marilyn zdecydowali się pobrać.

Oczy Patricka rozblęły.

- Więc... może się przenieś do Auckland?

- Nie rozmawialiśmy jeszcze o tym. - Harriet wysunęła się z jego objęć i poprawiła ubranie.

- Czy miałabyś coś przeciwko temu, gdyby chciał to zrobić?

- Ależ skąd - odparła. - Oczywiście tęskniłabym za nim, Freddie z pewnością też. Zdaję sobie jednak sprawę, że ojciec

powinien wreszcie mieć znowu własne życie. Freddie i ja musimy dać sobie radę sami.

- Przecież nie będziecie sami.

Serce Harriet zabiło mocniej. Co Patrick miał na myśli? Czyżby chciał się do nich wprowadzić? Nie miałyby nic przeciwko temu. Nagle odezwał się telefon i magia chwili prysnęła. Patrick pokręcił głową, najwyraźniej niezbyt tym zachwycony, po czym uśmiechnął się szeroko.

- Wciąż będziecie mieli Murphy'ego.

- Nie na długo.

- Dlaczego? - zapytał, idąc w kierunku telefonu.

- Gerry wraca w poniedziałek. Murphy będzie musiał przenieść się do jego domu.

- Przecież to wasz pies!

Harriet pokręciła przecząco głową.

- Murphy należy do Gerry'ego Henleya.

- To niemożliwe - odrzekł Patrick, kładąc rękę na słuchawce uparcie dzwoniącego telefonu. - Murphy należy do ciebie tak samo

jak Freddie i... tak samo jak ja - dodał. Podniósł wreszcie słuchawkę. - Tu Patrick Miller. - Przez chwilę słuchał w milczeniu. - Tylko nie Denise Dobson - jęknął. - Co się stało tym razem?

Harriet wyszła na korytarz. W myślach powtarzała słowa Patricka. Czuła się taka szczęśliwa.

Tego dnia wszystko zdawało się układać po jej myśli. Hamish Ryder przeniósł się do szpitalnego hotelu, gotowy do podjęcia nowego wyzwania na drodze do pełnej niezależności. Przez jakiś czas zapewne będzie jeszcze korzystał z fotela na kółkach, ale z dnia na dzień coraz lepiej sobie radził z kulami. Jedynym zmartwieniem Hamisha było rozstanie się z Thomasem Carrem, z którym zdążył się już zaprzyjaźnić.

Stan zdrowia Thomasa również bardzo się ostatnio poprawił. Harriet bardzo go lubiła i odwiedzała tak często, jak to tylko było możliwe.

Tego popołudnia, gdy Hamish został przeniesiony do części hotelowej, Harriet ponownie zajrzała do Thomasa. Chłopak siedział przypięty pasami w fotelu na kółkach. Jego ręka i nadgarstek zostały unieruchomione przy pomocy specjalnej szyny. W palcach trzymał ołówek i z ogromnym wysiłkiem pisał coś na leżącej na jego kolanach kartce. Kartka pokryta była ogromnymi pajęczymi literami.

- To list - wyjaśnił z dumą. - Do Hamisha.
- To fantastyczne! Czy chcesz, żebym mu go doręczyła?
- Nie, dzięki, Harry. Zrobi to Blake, jak tylko wróci z fizjoterapii.
- A co u niego?

Blake Donaldson również opuścił już pokój, który dzielił z Thomasem i Hamishem. Harriet w ciągu ostatniego miesiąca z przyjemnością śledziła, jakie ten chłopak robi postępy. Blake wciąż potrzebował pomocy przy jedzeniu i goleniu, ale samodzielnie potrafił już ubrać górną część ciała i niezłe sobie radził z przenoszeniem się z łóżka na fotel. Jego umiejętności w kierowaniu fotelem na kółkach także bardzo się poprawiły.

- Wszystko dobrze - rzekł Thomas. - Ćwiczy się dziś w pokonywaniu krawężników. Okropnie chce się nauczyć prowadzić samochód.

Lekcje jazdy samochodem stanowiły najbardziej lubianą przez pacjentów część programu rehabilitacyjnego. Maggie Baxter, mimo zaawansowanej ciąży, również w tych zajęciach uczestniczyła. Jej wyprawy po zakupy dla dziecka, robótki na drutach i wyjazdy z Lukiem wypełniały jej dzień bez reszty.

Ostatnio zgodziła się nawet wybrać razem z mężem podczas weekendu na poszukiwanie domu w Christchurch.

- Zgadnij, kto odwiedził Blake'a wczoraj wieczorem? - zapytał Thomas, wrywając Harriet z zamyślenia.

- Kto?

- Jego przyjaciółka, Sharon.

- Naprawdę? Był zadowolony, że ją widzi?

- Chyba tak. - Thomas odłożył ołówek i uśmiechnął się szeroko. - Zaciągnęli zasłonę i przez jakiś czas było prawie cicho.

Coś musi być w powietrzu, doszła do wniosku Harriet. Nawet Zoe Pearson stała się jakby bardziej pewna siebie. Harriet podejrzewała, iż może to mieć coś wspólnego z tym, że ostatnio często widywano ją w towarzystwie Davida Longa.

Tego popołudnia Harriet wychodziła z pracy z przeświadczeniem, że wszystko w jej życiu zaczyna się wreszcie układać. Wprawdzie Patrick podczas weekendu musiał być w domu pod telefonem, ale ona nie miała nic przeciwko temu. Musi zrobić porządki w domu Gerry'ego jeszcze przed jego powrotem.

Patrick jednak należy do niej. Jest teraz częścią jej życia, częścią jej przyszłości. Sam to mówił i wiedziała, że to prawda. Po raz pierwszy w życiu nie musiała się o nic martwić.

Zupełnie o nic.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez cały weekend robiła porządki w posiadłości. Pod koniec była już tak zmęczona, że kiedy obudziła się w poniedziałek rano, z radością myślała o powrocie do swoich zajęć w szpitalu i czekającym ją spotkaniu z Patrickiem.

Kiedy wysiadła z samochodu, z przylegającej do parkingu części hotelowej dobiegły ją podniesione głosy.

- Nawet nie spojrzałaś, na litość boską. Podjęłaś decyzję, zanim tam weszłaś.

Widząc, że wybrała zbyt długą drogę do szpitalnego wejścia, Harriet przyspieszyła kroku, gdy nagle usłyszała charakterystyczny dźwięk rozbijanego szkła.

- Po prostu posłuchaj, co do ciebie mówię! - zawołał zdenerwowany kobiecy głos. - Ty nawet nie chcesz słuchać!

Maggie Baxter. Harriet zwolniła kroku.

- To, co usłyszałem, zupełnie mi wystarczy. Jesteś beznaoczna, Maggie.

- Dlaczego? - zatkąła rozpaczliwie.

Chciała jak najszybciej wejść do ich pokoju i spróbować jeśli nie załagodzić spór, to przynajmniej uspokoić rozżaloną kobietę. W ostatniej chwili zmieniła jednak zamiar i zatrzymała się na wysokości otwartego okna.

- Co będzie, Maggie, jeśli zachorujesz? - Głos Luke'a był szorstki i zagniewany. - Jeśli dostaniesz jakiegoś cholernego

zakazania albo się przewrócisz i złamiesz nogę? Co się stanie, gdy zachoruje dziecko? Jak sądzisz, co ja czuję, kiedy o tym myślę? Przestań być taką cholerną egoistką i chociaż raz pomyśl o kimś innym.

- Myślę o tobie! - Silna, dzielna Maggie płakała tak rozdzierająco, jakby za chwilę miało jej pęknąć serce. Harriet nie mogła spokojnie tego słuchać.

- Nie, to nieprawda - zaprotestował Luke. - Nie chciałaś tego domu już w chwili, kiedy ci o nim powiedziałem. Tygodniami szukałem czegoś odpowiedniego, a kiedy znalazłem, ty nawet nie próbujesz znaleźć w nim czegoś pozytywnego.

- Jest okropny, Luke. - Głos Maggie był tak cichy, że Harriet z trudem rozróżniała słowa. - On nie ma duszy...

- Och, Maggie, tak mi przykro. - Głos Luke'a był teraz tak samo udęczony jak głos jego żony. - Nie płacz, Maggie. Proszę cię, nie płacz.

Harriet ruszyła w stronę wejściowych drzwi. Nie powinna się w to mieszać, cóż zresztą mogłaby im powiedzieć? Sami muszą sobie z tym poradzić i, sądząc po miłości, jaką można było wyczuć w głosie Luke'a, znajdują jakiś kompromis.

Wkrótce pochłonęły ją obowiązki i o wszystkim zapomniała. Patrick prawie cały dzień spędził w sali operacyjnej i Harriet zobaczyła go dopiero pod koniec dyżuru. Sprawił wrażenie bardzo znużonego.

- Widzę, że miałaś ciężki weekend. Jak było dziś? - zapytała, patrząc na niego ze współczuciem.

- Dużo lepiej - uśmiechnął się. - A może być jeszcze lepiej, jeśli wybierzesz się ze mną na kolację.

- Z przyjemnością. Daj mi tylko trochę czasu, żebym mogła pojechać do domu i położyć Freddiego spać.

Było jeszcze zupełnie wcześniej, kiedy dotarli do maleńkiej, uroczej winiarni, słynnej nie tylko z win, ale i wspaniałej kuchni. Ostatnie promienie słońca były tak ciepłe i relaksujące, jak towarzystwo ukochanego mężczyzny.

- Za nas, Harry. - Patrick uniósł do góry kieliszek.
- Za nas - powtórzyła, upijając łyk białego wina.

Słońce powoli zachodziło i zapadający zmrok uwydatnił głębię zieleni otaczającej rozstawione pod gołym niebem proste stoły i ławy. Jakby dla kontrastu, jedzenie i obsługa były na najwyższym poziomie. Tak wspaniale Harriet nie czuła się od dawna.

- Wydaje mi się, jakbym była w jakimś zupełnie nierealnym świecie - westchnęła. - To prawdziwy raj.

Na stole pojawił się dzbanek aromatycznej kawy, małe dzbanuszki z mlekiem i śmietanką oraz talerz migdałowych ciasteczek o fantazyjnych kształtach.

- Freddie byłby nimi zachwycony - rzekła Harriet, biorąc do ręki maleńkie cudo w kształcie gwiazdki. - Odkąd wróciłam do pracy, ani razu nie upiekłam imbirowych ciastek, które Freddie tak lubi. - W milczeniu obserwowała, jak Patrick dolewa jej do kawy śmietanki. - Czy wiesz, że po raz pierwszy poszliśmy gdzieś razem? Że po raz pierwszy nie ma przy nas Freddiego?

Patrick uśmiechnął się.

- Tęsknię za nim.
- Nawet w połowie nie tak bardzo, jak on za tobą. Właśnie zasypiał, kiedy przyjechałeś po mnie. Był niepokieszony, że nie usłyszysz dalszego ciągu tej historyjki, którą mu zacząłeś opowiadać.
- Ach, tej o chłopcu i jego niesamowitym psie.
- Nie zapomnij o dobrym smoku.

- Jakżebym mógł! - roześmiał się Patrick. - Muszę wymyślić, jak nasz mały bohater wyciągnie smoka z ogromnej jamy z gnijącą kapustą.

- Ty się naprawdę martwisz, Paddy?

- Naturalnie. Zapach gnijącej kapusty jest obrzydliwy. I niebezpieczny. Smok może stracić zdolność spełniania życzeń, jeśli zbyt długo będzie siedział w tym smrodzie.

Harriet uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Miałam na myśli, czy ty się martwisz o Freddiego?

Twarz Patricka nagle spoważniała.

- Co masz na myśli?

- Dziecko zawsze komplikuje sytuację. To między innymi dlatego nigdy nie brałam pod uwagę naszej przyszłości. To znacznie powiększa ryzyko.

- W jaki sposób? - zapytał.

- Freddie bardzo cię kocha - odparła po namyśle. - Stałeś się ważną częścią jego życia. Jeśli odejdziesz, on strasznie to przeżyje. Już i tak będzie się musiał pogodzić z wyjazdem dziadka. - Głos Harriet zadrżał. - Nie przeżyję, jeśli znowu spotka go zawód. On jest dla mnie najważniejszy.

Dłoń Patricka zacisnęła się na jej palcach.

- Dla mnie również, Harriet. Czy nie możesz tego pojąć?

W tonie jego głosu było coś, co sprawiło, że dreszcz przeszedł jej po plecach.

- Nigdy zbyt wiele nie mówiłaś, jak zaszłaś w ciążę po tak długim okresie czekania. Musiałaś być szczęśliwa.

- Byłam szczęśliwa. Byliśmy szczęśliwi - poprawiła się.

- Musieliśmy przejść przez całą serię badań, zatrzymaliśmy się więc w Auckland, u mojego taty.

Ręka Patricka mocno zacisnęła się na dłoni Harriet.

- Byliście w klinice w Auckland? Dlaczego?

Harriet wzruszyła ramionami.

- Po prostu zdecydowaliśmy, że chcemy przez to przejść. Martin zrobił parę badań u specjalisty, którego nie ma w Christchurch. Spędziliśmy tam parę tygodni. No i wyszło.

Patrick milczał. Milczał tak długo, że Harriet zaczęła się denerwować.

- Co się stało, Patrick? Co takiego powiedziałam?

Cisza się przedłużała. W pewnej chwili Patrick uwolnił dłoń Harriet i wzięwszy do ręki filiżankę, przechylił ją, bezmyślnie gapiąc się w osad.

- Nie miałem zamiaru mówić ci o tym, Harry. Obawiałem się, że możesz to niewłaściwie zrozumieć.

- Powiedzieć mi o czym? - Teraz to Harriet była zaniepokojona. - Powiedz mi, Patrick!

Przez dłuższą chwilę patrzył jej w oczy, po czym powoli skinął głową.

- Elizabeth i ja chcieliśmy mieć rodzinę, wspominałem ci o tym. Rzecz w tym, że przez jakiś czas, który wydawał się nam zbyt długi, nie mieliśmy dziecka. Po sześciu miesiącach wspominałem o tym koledze, który w Auckland prowadził klinikę leczenia bezpłodności. Ten kolega powiedział mi, że to za wcześnie, żeby się martwić, niemniej zrobił nam kilka wstępnych badań. Wszystko skończyło się dobrze, ponieważ Elizabeth zaszła w ciążę, zanim te badania się zakończyły.

Umilkł, jakby się zastanawiał, czy mówić dalej.

- Mój kolega gratulował mi wyników jednego z testów. Żartował na temat fantastycznej liczby plemników w nasieniu. W pewnej chwili spoważniał i zapytał, czy mogą zachować pobraną ode mnie próbkę dla celów prowadzonego przez nich

programu zapłodniania obcym nasieniem, ponieważ, jak twierdził, mieli kłopoty z pozyskiwaniem dawców.

Harriet była wstrząśnięta. To była ostatnia rzecz, którą spodziewała się usłyszeć.

- Nie zgodziłem się - ciągnął Patrick. - Nie chciałem, żeby ktoś inny wychowywał dziecko, które byłoby przecież w połowie moje. Dziecko, o którym nic bym nie wiedział.

Odetchnęła z ulgą. Jednak to nie był koniec historii.

- Po śmierci Elizabeth, może po roku albo trochę więcej, miałem pacjentkę, młodą kobietę, która po strasznym wypadku samochodowym przeszła wiele ortopedycznych operacji. Ta kobieta miała córeczkę i desperacko pragnęła zacząć się ruszać, żeby bardziej aktywnie uczestniczyć w jej wychowaniu. To była bardzo dzielna kobieta, a jej mąż wspierałym człowiekiem. Znałem ich na tyle dobrze, żeby poznać zaskakującą prawdę: to dziecko przyszło na świat w efekcie sztucznego zapłodnienia.

Zdecydowanym ruchem ręki odsunął filiżankę i długo patrzył na Harriet.

- Długo myślałem o tej rodzinie. Kilka miesięcy później ponownie skontaktowałem się z moim kolegą i zapytałem, czy wciąż ma kłopoty z dawcami. Potwierdził, że nic się od tamtego czasu nie zmieniło. Powiedziałem, że chcę zostać dawcą, że chciałbym komuś takiemu jak pewna moja pacjentka pomóc urzeczywistnić marzenia.

Patrick umilkł.

- Więc? - Ton głosu Harriet był ostry. - Co ty właściwie chcesz mi powiedzieć, Patrick?

- Ty leczyłaś się w Auckland. Ja byłem dawcą w Auckland. Możliwe więc, że Freddie jest moim synem.

Harriet roześmiała się.

- Oczywiście! Tak się złożyło, że właśnie twoje nasienie wybrano dla mnie i tak się złożyło, że znalazłeś się na tym cholernym odludziu akurat wtedy, żeby odebrać poród swojego własnego syna. To przecież absurd, Patrick.

- Czyżby? Kiedy odbierałem Freddiego, poruszyło mnie silne uczucie więzi z tym dzieckiem. Sądziłem, że to dlatego, że w tym malcu ujrzałem dziecko, które niedawno straciłem. To zdumiewające, że znalazłem się tam, na tym pustkowiu. To było z pewnością ostatnie miejsce, w którym chciałem się znaleźć. Staralem się potem o wszystkim zapomnieć, ale nie potrafiłem.

Nie musiał jej mówić, co czuł, kiedy po trzech latach znowu zobaczył Freddiego.

- Wciąż uważam, że to fantazja.

- Być może. Czy coś ci mówiono o dawcy?

- Nie. Jeśli nie liczyć informacji o stanie zdrowia i cechach fizycznych.

- Co konkretnie?

Dobry Boże! Harriet z wysiłkiem przełknęła ślinę. Ten opis idealnie pasował do Patricka.

- Nic konkretnego. Takie tam ogólne informacje - powiedziała wymijająco. - Zgodnie z prawem, gdy dziecko dorośnie, może dowiedzieć się czegoś więcej, jeśli oczywiście chce. W tej chwili to nie ma znaczenia.

- Ależ ma - zaprzeczył. - Nie twierdzą, że Freddie jest moim dzieckiem, twierdzą tylko, że może nim być. Powiedziałem ci o tym dlatego, że moje uczucia do Freddiego są... - Patrick ujął jej rękę. - Kocham cię, Harry. I kocham Freddiego. Uwierź mi, nie masz żadnych powodów do obaw. Jego szczęście jest dla mnie tak samo ważne jak dla ciebie, tak samo jak ty nie chcesz, żeby cokolwiek sprawiało mu ból. - Wstał i pociąg-

nąwszy ją za ręce skłonił, by również wstała, po czym ją objął i rzekł: - Teraz odwiozę cię do domu, skarbie, i proszę nie martw się.

Nie martwić się! Po dostarczeniu takiej amunicji? Czują się zbyt wstrząśnięta, żeby dłużej rozmawiać na ten temat. Musiała sama wszystko przemyśleć. W samochodzie starała się nie okazywać, jaki czuje zamęt w głowie, ale gdy zatrzymali się przed domem, powiedziała, że jest bardzo zmęczona i przeprosiła, że nie zaprasza go do środka. Jeśli był zawiedziony, doskonale to ukrył.

- Ja również czuję się zmęczony - rzekł, całując ją na dobranoc. - Zobaczymy się jutro. Ucałuj ode mnie Freddiego.

Obserwowała w milczeniu, jak w oddali nikną tylne światła jego auta. Co było najpierw? Jego miłość do niej, czy też do jej syna? I która była dla Patricka ważniejsza? Nagle coś szybko przemknęło między drzewami.

- Murphy? - Poczwała na dłoni przyjazny dotyk psiego łba. - Przestraszyłeś mnie. Dlaczego nie jesteś w domu z twoim panem? - Nagle usłyszała kroki na wysypanej żwirem alejce.

- Murphy! Tu jesteś. Szukałem cię. - Gerry Henley podszedł bliżej. - Przepraszam, Harriet. On chyba wcale nie chce być ze mną. Dzisiaj ucieka już po raz trzeci.

- Jak się masz, Gerry? - Harry uśmiechnęła się. - Jak się udała podróż?

- Bardzo dobrze. - Gerry Henley sprawiał wrażenie zakłopotanego. Nerwowo przeczesywał palcami włosy i unikał wzroku Harriet. - Chciałem powiedzieć, że pod koniec tygodnia wracam do Stanów.

- Naprawdę? Murphy może z nami zostać. - Harriet roześmiała się. - Na jak długo tym razem?

Gerry zawahał się. Odchrząknął kilka razy, po czym z wyraźnym ociąganiem powiedział:

- Tym razem na stałe, Harriet. Interesy wymagają mojej obecności. Właściwie przyjechałem tylko po to, żeby wystawić posiadłość na sprzedaż.

- Ach tak! - Nagle poczuła, że ziemia usuwa się spod jej stóp. - A co będzie z Murphym?

- John uważa, że z radością go zatrzymasz, Harriet. On bardzo się do was przywiązał.

Palce Harriet pieszczotliwie wplatały się w gęste futro psa. Murphy położył się u jej stóp.

- Oczywiście, zatrzymam go - odparła. - Z radością.

Na parkingu było zupełnie cicho, kiedy zatrzymała się przed szpitalem następnego ranka. Ta cisza i spokój tak bardzo kontrastowały z tym, co przeżyła ostatniej nocy. Najpierw długo leżała, nie mogąc zasnąć, a później Freddie obudził się z płaczem, przerażony jakimiś sennymi koszmarami. I kiedy w końcu zdołała go jakoś uspokoić, nie było już szans, aby sama mogła zasnąć.

Musiała stanąć twarzą w twarz z tym, że nie będzie już mogła liczyć na stałą pomoc ojca, że wkrótce będzie musiała opuścić dom, w którym odzyskała spokój i radość życia, a przede wszystkim z lękiem, że ktoś inny może uważać, iż posiada prawo do jej syna.

Jakieś złe moce najwyraźniej sprzysięgły się przeciwko niej. Jedyłą deskę ratunku widziała w tym, że Patrick kocha ją tak samo jak ona jego. Jednak z obawą myślała o spotkaniu z nim. Tłumaczyła sobie, że to dlatego, iż nie chce mu powiedzieć o zmianach, jakie ją czekały w najbliższej przyszłości. Mogłoby

to wyglądać, że chce w ten sposób wyrzucić na Patricku presję, by się zadeklarował. Tego w rzeczywistości najbardziej się obawiała.

Jej lęk okazał się jednak niepotrzebny. Patrick aż do południa operował, a potem wyjechał na konsultacje do Christchurch. Po dyżurze z ulgą opuszczała szpital. Kiedy jednak podeszła do swego samochodu, nieoczekiwanie tuż przy niej zatrzymał się range-rover. Harriet ze zdumieniem patrzyła na przedmiot, który Patrick z triumfalną miną trzymał w ręku. Wspomniała, miękka zabawka była oczywiście przeznaczona dla Freddiego.

- Spójrz tylko! - zawołał z dumą. - Kupiłem to w sklepie z upominkami w Christchurch. - Poruszał różowo-zielonym smokiem, sprawiając, że jego skrzydła wznosiły się i opadały. - To smok, który przynosi szczęście. Nie mogę się doczekać, kiedy go Freddiemu подарuję.

W milczeniu patrzyła na zabawkę, potem na Patricka i czuła, jak lęk zaczyna powoli przeradzać się w panikę.

- Nie - powiedziała. - To nie jest dobry pomysł, Patrick.

- Harry? Co się stało?

- Ostatniej nocy Freddiego dręczyły jakieś koszmary. Obudził się ze strasznym krzykiem.

- Myślisz, że to z powodu moich historyjek?

Milczała. Nie chodziło jedynie o nocny płacz synka. Nie mogła zapomnieć, że kiedy Freddie z krzykiem się obudził, wołał „Daddy”.

Ponieważ milczała, Patrick zrozumiał, że go oskarża.

- Rzeczywiście, jest chyba trochę za mały. Nie miałem pojęcia. .. - Jego głos brzmiał niepewnie. - Wydawało mi się, że lubi te historyjki.

- Czasem trudno wiedzieć, kiedy należy się zatrzymać i gdzie są granice - powiedziała chłodno.

Patrzył na nią, jakby nie była tą Harriet, którą znał.

- Nie masz na myśli Freddiego, prawda? - powiedział. - Ty masz na myśli nas.

Skinęła głową. Wciąż patrzyła na zabawkę, którą Patrick trzymał w rękach. Smok uśmiechał się łagodnie.

- Ustaliliśmy, że będziemy przyjaciółmi, Patrick. Żadne z nas nie myślało o jakimś długotrwałym związku, pamiętasz?

- Pamiętam - przyznał ponuro. - Ale o co chodzi, Harriet? Powiedziałaś, że mnie kochasz. Wczoraj wieczorem wyglądałaś na szczęśliwą. Co, u diabła, się zmieniło od wczoraj? Chcę być z tobą. - Podszedł do niej bliżej. - Chcę być z tobą, Harry. Chcę być z Freddiem.

Harriet cofnęła się, zaciskając pięści.

- To o to ci chodziło, prawda, Patrick? - spytała ze złością.

- Tak. - Był zdumiony jej reakcją. - Naturalnie.

- Chcesz Freddiego - powiedziała lodowatym tonem. - Ma ci zastąpić dziecko, które straciłeś.

Patrick gwałtownie zbladł.

- Co zrobiłeś, Patrick? Skontaktowałeś się ze swoim przyjacielem z kliniki? Uzyskałeś dostęp do poufnych danych? Dowiedziałeś się, kto był szczęśliwym biorcą twojego nasienia?

- Nie mogę w to uwierzyć! - Pokręcił głową. - Nie mogę uwierzyć, że mogłaś nawet pomyśleć, że zrobiłbym coś aż tak nieetycznego, nie wspominając, że sprzecznego z prawem.

- Kiedy ten pomysł wpadł ci do głowy, Patrick? Przed czy po tym, jak zdecydowałeś, że powinniśmy zostać „przyjaciółmi”?

- Przestań, Harriet! - zawołał ze złością.

- Nie, nie przestanę. Nie pozwolę, żebyś uwierzył, że uda ci się uzyskać prawo do mojego syna. I nic mnie nie obchodzi, czy jesteś jego biologicznym ojcem.

- Naprawdę? - Jego głos był lodowaty.

- Naprawdę.

- A więc wierzysz, że zbliżając się do ciebie, chodziło mi jedynie o zdobycie prawa do Freddiego?

- Tak właśnie zaczynam myśleć. Nienawidziłeś mnie, kiedy się tu pojawiłam. Przystąpiłeś do działania, kiedy po raz pierwszy wspomniałam o Freddie. To właśnie dlatego odwiozłeś mnie do domu tego dnia, kiedy skręciłam kostkę? Liczyłeś na to, że go zobaczysz.

- Myślę, że tak właśnie było - przyznał. - Przynajmniej w części.

- A ja uważam, że już wtedy wiedziałeś. Nietrudno było dowiedzieć się czegoś od ludzi. Poza tym nie dałabym głowy, czy nie przeczytałeś dokumentów Martina.

Patrick nie mógł ukryć rumieńca i Harriet spojrzała na niego z zażenowaniem.

- Wywiązałam się z mojej roli doskonale, nie uważasz? - zapytała gorzko. - Pokazując ci zdjęcia dziecka, pozwalając Freddiemu mówić do ciebie „Daddy”. Wierząc, że to ze mną chciałeś być.

-Tak było...

Harriet prychnęła.

- Tak, spodziewam się, że seks był niezłą premią. Co wtedy powiedziałeś? Że zapomniałeś już, jakie to może być wspa-
niałe?

Smok kołysał się, trzymany przez Patricka za skrzydło. Twarz Patricka przypominała maskę.

- Zatrzymaj tę zabawkę, Patrick - rzuciła chłodno. - Ja zatrzymam syna.

Odwróciła się i ruszyła w stronę swojego samochodu. Powoli. Czy powie jej, że się myli? Tak bardzo chciała to usłyszeć, jednak Patrick nie ruszył się z miejsca. I nie powiedział ani słowa.

Zatrzasnęła drzwi, zapaliła silnik i z piskiem opon ruszyła z parkingu, jakby już nigdy nie miała tu wrócić.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Być może ryzyko było zbyt duże.

Jednak za późno na zastanawianie się. Ryzyko zostało podjęte, a ból, który teraz odczuwał, świadczył, jak wielkim był hazardzistą. Otarł ręką twarz. Czuł znużenie, a wysoka temperatura nie ułatwiała koncentracji. Podeszedł do okna i otworzył je szeroko.

Przez okno pawilonu, gdzie mieściła się sala gimnastyczna, zauważył Hamisha Rydera, wykonującego jakieś skomplikowane ćwiczenia. Towarzyszyła mu fizjoterapeutka, Jane, która bacznie obserwowała jego wysiłki. Blake siedział w swoim wózku przed pawilonem, rozkoszując się ciepłem słońca. Obok niego siedziała jakaś młoda kobieta i trzymała go za rękę. Maggie Baxter również korzystała ze świeżego powietrza. Jej wózek powoli pchała Harriet.

Szła w jego kierunku. Patrick odszedł od okna i spojrzał na zegarek. Jak często Harriet skraca przerwy na lunch po to tylko, żeby dłużej przebywać z pacjentami? I dlaczego Maggie wygląda na tak samo zawiedzioną i nieszczęśliwą jak jej towarzyszka?

Od czasu, gdy rzuciła na niego to straszne oskarżenie, Harriet sprawiała wrażenie kompletnie rozbitej. Początkowo Patrick o wszystko obwiniał siebie. To on był tym, który po raz drugi podjął ryzyko, to jego dramatyczna decyzja prawdopodobnie zniszczyła to, co mógł mieć. Co oni mogli mieć. Wszyscy.

Po prostu nie przyszło mu do głowy, by wcześniej powiedzieć Harriet o swym udziale w programie kliniki w Auckland. To nie jest sprawa, o której mówi się przy okazji. Poza tym był zaskoczony, gdy się dowiedział, w której klinice Harriet poddała się zabiegowi. Nawet bardzo mało prawdopodobna możliwość, że mógłby być ojcem Freddiego, wydawała się zbyt fantastyczna, by ją traktować poważnie. Dla Patricka nie miało to większego znaczenia. Chciał jedynie przekonać Harriet, że należą do siebie, że jego miłość do niej przez włączenie jej syna może jedynie wzrosnąć.

Harriet kochała go, doskonale o tym wiedział. I oto teraz, dla ratowania dziecka, chciała się tej miłości wyrzec. Gniew i ból, że nie miała do niego zaufania, zdominowały wszystkie dotychczasowe uczucia.

Nagle głos Maggie Baxter wyrwał go z zamyślenia. To, co usłyszał, przeraziło go.

- Chyba się nie wyprowadzisz?

Patrick zamarł. Czyżby Harriet miała zamiar zrezygnować z pracy i z niego?

- To bardzo możliwe - odparła Harriet ze smutkiem. - Nie jestem właścicielką tego domu. Nawet go nie wynajmuję. To część dużej posiadłości. Mój ojciec dba o ogród, a ja pomagam w utrzymaniu porządku w rezydencji właściciela. Dzięki temu, po przyjsciu na świat Freddiego, zamieszkałam w małym domku na terenie posiadłości. Teraz całość została wystawiona na sprzedaż, ponieważ właściciel przenosi się do Stanów.

- Więc kup ją - zasugerowała Maggie.

Harriet roześmiała się smutno.

- To zupełnie nie wchodzi w grę. Nie stać mnie na to. Pozostaje nam tylko mieć nadzieję, że sprzedaż nie nastąpi tak szybko.

- Dlaczego nie kupisz więc chociaż tego małego domku?
- To nie jest wydzielona nieruchomość.
- Ale może być. Pod warunkiem, że właściciel zgodzi się poczekać, aż zostaną załatwione niezbędne formalności.

- Sama nie wiem - rzekła Harriet zamyślona. - Gerry Henley sprawia wrażenie, jakby mu było przykro, że musimy ten domek opuścić. Doskonale wie, jak bardzo kochamy to miejsce, ale wydaje mi się, że ogromnie mu zależy na szybkiej sprzedaży.

- Mimo wszystko warto spróbować - upierała się Maggie.
- Masz rację. Szkoda mi Freddiego. Nie dość, że traci dziadka, to jeszcze grozi mu utrata domu. Dzięki, Maggie. Mam nadzieję, że ja też będę miała okazję kiedyś ci pomóc.

Maggie westchnęła.

- Zaczynam się już oswajać z tym pomysłem. Luke rozgląda się za pracą, a ja obiecałam, że wieczorem jeszcze raz obejrzę ten dom. Nie wszystkie marzenia mogą się spełnić.

- Coś o tym wiem.

Kobiety umilkły, ale wyraźne cierpienie w głosie Harriet nie dawało Patrickowi spokoju. Czy miała na myśli swój dom... czy jego? Czy mógł w jakiś sposób zapobiec jej odejściu?

Ból, który teraz odczuwał, był porównywalny z bólem po śmierci Elizabeth i ich dziecka. Jeśli już teraz jego więzy z Harriet i jej synem są tak silne, to z czasem będą jeszcze silniejsze. Ryzyko było duże, ale jeśli go nie podejmie, to tak jakby żył tylko w połowie. Życie będzie bezpieczne, ale czy szczęśliwe?

Tak, musi to jeszcze raz przemyśleć. Gdyby tylko tak otwarcie nie ujawniał swoich uczuć do Freddiego! Gdyby tylko tak głęboko nie ukrywał myśli, że mógłby mieć biologiczne prawo do tego dziecka. Gdyby nie uległ pokusie i nie przeczytał do-

kumentów Martina. Nic dziwnego, że Harriet miała do ich związku tyle zastrzeżeń.

Czy decyzję o rozstaniu podjęła przed czy po tym, jak dowiedziała się, że Gerry sprzedaje posiadłość? Chyba jednak po tym, uznał. Wyczuwając zagrożenie ze wszystkich stron, postanowiła skupić się na tym, przed czym jej zdaniem zdoła syna obronić.

Dobiegający zza okna jęk skutecznie przeciął te wszystkie spekulacje.

- Czy krzyż wciąż ci dokucza, Maggie?
- Tak. To pewnie wina ułożenia dziecka.
- Chyba już długo to nie potrwa. Który to tydzień?
- Trzydziesty ósmy. Jednak czuję się tak, jakby to był trzydziesty ósmy miesiąc. Czy mogłabyś zawieźć mnie do pokoju? Chciałabym się na chwilę położyć.

- Oczywiście. Ja też muszę wracać do moich obowiązków, ale mogę przysłać Davida Longa, żeby zerknął na ciebie.

Głosy powoli zaczęły się oddalać.

- Może lepiej Paddy'ego? - usłyszał śmiech Maggie. - Na wypadek gdybym jednak zaczęła rodzić.

Patrick usiadł przy biurku i sięgnął po książkę telefoniczną. H.Henley, czy to ten? Gerry Henley. Zanotował numer telefonu i adres, po czym ponownie otworzył książkę i zaznaczywszy palcem jakiś inny numer, przysunął do siebie aparat telefoniczny. Piętnaście minut później wyszedł z pokoju.

- Barbara? Jadę do miasta.
- Do szpitala w Christchurch?
- Nie tym razem. Jadę do mojego doradcy prawnego. Tu jest jego nazwisko i numer telefonu na wypadek, gdyby mój pager tak daleko nie sięgał. Wrócę za jakąś godzinę.

Na szczęście aparat milczał przez cały czas jak zakłęty i Patrick, po wyjściu od prawnika, wracał do szpitala Coronation z uczuciem ulgi i satysfakcji.

Zrobił pierwszy krok na drodze do podjęcia ważnej decyzji. Musi wiele spraw uporządkować. Musi zdobyć obydwójce: Harriet McKinlay i jej syna. Nie wyobrażał sobie, że może przegrać. Wiedział jednak, że następny krok będzie o wiele trudniejszy. Przypomniał sobie o wciąż nie dokończonym protokole z operacji, ale zamiast do swego gabinetu, wrócił na oddział ciężkich przypadków, w nadziei, że zastanie tam Harriet.

- Była tu przed chwilą - poinformowała go Sue. - Chyba wspomniała, że wpadnie do Maggie, sprawdzić, jak ona się czuje. Wezwała przedtem jej położnika, doktora Andrewsa, ponieważ Maggie przez cały dzień uskarżała się na bóle w krzyżu. Ma wkrótce tu być.

- Tak? Może pójde i obejrze ją sam. W końcu to moja pacjentka.

Patrick rzeczywiście zastał Harriet w pokoju Maggie. Siedziała na krześle w dosyć dziwnej pozycji. Drgnęła na jego widok.

- Nie ruszaj się! - zawołała Maggie. - Prawie skończyłam. Maggie leżała na łóżku, wygodnie podparta poduszkami, a sporych rozmiarów szkicownik spoczywał na jej wydatnym brzuchu. Tuż obok siedział Luke i obejmował żonę.

Maggie przechyliła głowę, by lepiej przyjrzeć się pracy, i zaciśnęła usta.

- Może być - zdecydowała. Odwróciła szkicownik w kierunku Harriet i wtedy zobaczyła stojącego w drzwiach Patricka.
- Paddy, witaj! Wejdz, proszę. Co o tym sądzisz?

Szkic był znakomity. Miękkie linie ołówka doskonale odda-

wał bogactwo niesfornych włosów Harriet i wyraz melancholii w oczach.

- Jest doskonały - rzekł cicho Patrick.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, on jednak, jakby nie zdając sobie z tego sprawy, wciąż patrzył na szkic. Maggie spojrzała na Harriet, unosząc brwi w niemym pytaniu, lecz Harriet odwróciła wzrok. Odgłos spadającego na podłogę szkicownika przerwał niezręczną ciszę.

- Ale ze mnie za niezgara. Mam nadzieję, że się nie pogniotł. Och, Luke! - W jej głosie zabrzmiało przerażenie. - Czyżbyś wylał herbatę na łóżko?

- Ależ skąd. Filiżanka stoi obok na szafce. Widzisz? - Luke podniósł z podłogi szkicownik i położył rękę na łóżku tuż obok ręki Maggie. - Tu jest naprawdę mokro! - zawołał.

- O nie! - skrzywiła się Maggie. - Nie sądziłam, że będę miała takie problemy z pęcherzem.

- Nie wydaje mi się, żeby to był pęcherz. - Harriet sprawdziła łóżko z drugiej strony. - Byłaś w łazience zaledwie pół godziny temu, a tu jest bardzo mokro. Coś mi się zdaje, Maggie, że odchodzą wody.

- Doktor Andrews chciał mnie przenieść do szpitala położniczego, ale mu powiedziałam, że na razie chcę tu zostać. Może lepiej będzie, jak się przeniosę?

- Spróbuję się z nim skontaktować. - Patrick ruszył w stronę drzwi. - Rozbierz ją, Harriet. Lepiej sprawdzić, co się dzieje.

Kiedy po kilku minutach wrócił do pokoju, Harriet ściągnęła już z Maggie legginsy i położyła na łóżku suche ręczniki. Luke trzymał ręce na brzuchu Maggie.

- Znowu skurcz - powiedział z niepokojem.

- Ile czasu minęło od poprzedniego? - spytała Harriet.

Luke spojrział na zegarek.

- Trzy minuty.

Patrick skończył myć ręce i sięgnął po ręcznik.

- Doktor Andrews będzie lada moment - poinformował Maggie. - Obiecałem, że będę cię pilnował. - Wciągnął rękawice. - Harriet, przytrzymajcie jej nogi, a ja sprawdzę rozwarcie. Myślę jednak, że mamy dużo czasu. To przecież dopiero pierwsze dziecko.

- Mam silne bóle krzyża - poskarżyła się Maggie. - Tak zresztą jest już od rana.

- Nic dziwnego. Prawdopodobnie już wtedy zaczęłaś rodzić.

- Patrick umilkł nagle, po czym nieoczekiwanie zawołał: - Wielki Boże!

- Co się stało? - zapytała z niepokojem Harriet.

- Sama zobacz - mruknął Patrick.

Harriet i Luke jednocześnie pochylili się nad nogami Maggie. Główka dziecka była już widoczna.

- Och, Maggie! - szepnęła Harriet. - Masz dziecko.

- Czyżby? - zapytała Maggie, krzywiąc z wysiłku twarz. - A ja myślałam, że po prostu tyję.

Ręce były gotowe do złapania noworodka, który urodził się ze zdumiewającą szybkością. Z ust dziecka wyrwał się ostry krzyk, gdy Patrick kładł je na brzuchu matki.

- A jeszcze przed chwilą mówiłem, że mamy dużo czasu

- mruknął Patrick. - Muszę chyba dać sobie spokój z położnic-

twem. Najwyraźniej nie mam pojęcia, o czym mówię. - Uśmiechnął się niepewnie. - Poza tym to zbyt stresujące. - Spojrzął na Harriet i wcale nie był zaskoczony, że po jej twarzy płynęły łzy. Po twarzy Luke'a również.

- To dziewczynka, Maggie. Mamy córeczkę.

- Wiedziałam, że doktor Andrews nie będzie potrzebny.

Dzięki, Paddy.

Po kilku minutach zjawił się doktor Andrews.

- Z dzieckiem wszystko chyba w porządku - oznajmił. - Nie mamy tu wprawdzie wagi, ale na moje oko mała waży przynajmniej trzy kilogramy. Nie widzę potrzeby przewożenia Maggie do kliniki położniczej. - Rozejrzył się po przejętych twarzach personelu, którego liczba wciąż rosła. - Domyślam się, że dla was to niezwykle wydarzenie.

- Mam nadzieję, że Maggie nie pękła? - powiedział Patrick.

- Nie było już na nic czasu, nawet gdybym miał pod ręką narzędzia.

- Tylko troszeczkę - odrzekł doktor Andrews. - Chyba nawet nie będzie potrzebne szycie. Obejrzą trochę później, kiedy spadnie nieco liczba odwiedzających.

- Już sobie idę. - Patrick uśmiechnął się szeroko. - Może inni pójdą w moje ślady. - Wyszedł na korytarz, gdzie Harriet usiłowała przebić się przez krąg foteli na kółkach blokujących dostęp do pokoju Maggie.

- Maggie czuje się dobrze - powtarzała. - Dziecko również. Będziecie mogli zobaczyć ją później, teraz Maggie i Luke potrzebują trochę czasu dla siebie.

Patrick znalazł się tuż przy niej.

- My również - szepnął. Jego usta prawie dotykały jej ucha.

- Musimy porozmawiać, Harry.

Harriet nagle zeszytywniała. W jej oczach oprócz lęku, Patrick dostrzegł coś jeszcze. Ulgę? Może nadzieję?

Nagle stojąca za fotelem Hamisha Sue zaczęła machać ręką.

- Harry! Telefon do ciebie. Dzwoni twój ojciec. Chyba coś bardzo pilnego.

- O Boże! Pewnie coś z Freddiem. - Harry rzuciła się w stronę telefonu. Patrick bez namysłu ruszył za nią.

Po chwili odkładała słuchawkę, patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem.

- Freddie - szeptała z niedowierzaniem. - Freddie zginął.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

John Peterson biegiem ruszył w kierunku błękitnego range-rovera, który z piskiem opon zatrzymał się przed podjazdem.

- Jeszcze raz przeszukałem oranżerię. Ani śladu po nich. Patrick nie sądził, że twarz Harriet może być jeszcze bledsza, ale myśl o basenie sprawiła, że teraz stała się nagle kredowobiała.

- Jest jeszcze rzeka - wyszeptała.

- Powiedziałeś „po nich”? - zapytał Patrick. - A więc nie tylko Freddie zginął?

- Nie ma również Murphy'ego - wyjaśnił John. - Pomagaliśmy Gerry'emu przygotować ostatnią partię rzeczy do zabrania przez firmę przewozową. Kiedy samochód odjechał, Freddiego już nie było.

- Czy zawiadomiliście policję? - zapytał Patrick, starając się ustalić fakty.

- Właśnie miałem to zrobić. - Stojący na schodach Gerry odwrócił się w stronę domu.

- Na razie się wstrzymaj - rzekł Patrick. - Jeszcze raz sami przeszukamy najbliższą okolicę. Zginął jakąś godzinę temu?

John kiwnął głową.

- Poczekamy więc jeszcze pół godziny. Jeśli w tym czasie go nie znajdziemy, poprosimy o pomoc policję. Czy dzwoniście do firmy przewozowej, żeby przeszukali samochód?

- Nie pomyślałem o tym! - Gerry uderzył się ręką w czoło.
- Zaraz to zrobię.

- Doskonale. - Patrick skinął głową. - A potem jeszcze raz przejrzyj dom i najbliższą okolicę. - Odwrócił się do ojca Harriet. - John, ty sprawdź wasz dom i główną drogę dojazdową, a ja i Harriet przeszukamy zarośla aż do rzeki. - Spojrzał na zegarek. - Jest w pół do piątej. Wy dwaj spotkacie się tu o piątej i zadzwonicie do mnie na komórkę - zapisał numer na skrawku papieru. - Jeśli do tego czasu ich nie znajdziemy, zawiadomimy policję. - A teraz - zwrócił się do Harriet - pokaż mi, w których zaroślach Freddie najbardziej lubił się bawić.

Biegiem ruszyli w stronę rzeki. Po chwili zagłębili się w gęstwinie drzew i krzewów.

- On nawet nie ma jeszcze trzech lat - z przerażeniem powtarzała Harriet, z trudem oddychając. - Tu jest rzeka, a na końcu posiadłości stary kamieniołom.

Patrick zatrzymał ją nagle i mocno ścisnął jej rękę.

- Znajdziemy go, Harry. Wszystko będzie dobrze.

Uważnie spojrzała mu w twarz, starając się wypatrzyć choćby najdrobniejszą szczelinę w jego pełnej optymizmu determinacji, ale niczego nie znalazła.

- To jego ulubiona ścieżka - oznajmiła nieco spokojniejszym tonem. - Prowadzi nad rzekę.

Na wpół szli, na wpół biegli, wciąż wołając Freddiego i jego czworonożnego przyjaciela. Po chwili stanęli nad brzegiem rzeki. Wokół panował niczym nie zmacony spokój. Leniwy prąd rzeki bulgotał i przelewał się ponad ogromnymi głazami, połyskując w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

- Fred-die! - wołała Harriet ochryłym głosem. - Mur-phy!

- Przez chwilę nasłuchiwała, ale poza bzyczeniem owadów nie dobiegał do nich żaden dźwięk.

Nawet nie poczuła, kiedy po jej policzkach popłynęły łzy. Nigdy nie była aż tak przerażona, aż tak samotna. Nagle otoczyły ją silne ramiona Patricka.

- Jestem przy tobie, Harry - szepnął miękko. - Nie jesteś sama.

Rozpaczliwe łkanie wstrząsnęło jej ciałem.

- Dlaczego? - szlochała. - Dlaczego tracę wszystko?

- To nieprawda - zaprotestował.

- Tracę tatę. Tracę dom. A teraz... Freddiego.

- Znajdziemy go. Chodź. - Patrick spojrzął na zegarek. -

Mamy jeszcze pięć minut. Pójdziemy w kierunku tamtych drzew. Gdyby nawet Freddie wpadł do rzeki, to Murphy przecież by tu był. Nie sądzę zresztą, żeby zaszli aż tak daleko.

Harriet otarła łzy i w milczeniu skinęła głową.

- Ojca również nie straciłaś - ciągnął Patrick. - Może się przenieść tutaj z Marilyn. Przecież lubicie ten dom?

Harriet milczała.

- Jestem pewien, że da się coś zrobić. Nie trać nadziei.

- Nie. - Odetchnęła głęboko, po czym nieoczekiwanie rzekła: - Maggie miała rację. Muszę porozmawiać z Gerrym.

- Mnie również nie straciłaś, Harry - powiedział, zatrzymując się nagle w cieniu ogromnego dębu. - Chyba że sama tego chcesz. Nic nie jest w stanie zmienić moich uczuć do ciebie. Nigdy nikogo nie kochałem, nigdy nikogo nie pokocham... tak bardzo jak ciebie.

Jego palce delikatnie przesunęły się po jej czole i policzkach, usuwając z nich ślady łez, po czym wziął ją za rękę i jakby pod wpływem nagłego impulsu, poprowadził zupełnie nową ścieżką.

Rosnące na szczycie niewielkiego wzniesienia drzewo najwyraźniej dawno temu przewróciło się i jego omszały pień blokował prawie całą szerokość ścieżki. Patrick ostrożnie okrążył przeszkodę. Gdy się ponownie zatrzymał, Harriet zauważyła, jak wyraz jego twarzy gwałtownie się zmienia.

- O Boże! - szepnęła z przerażeniem. - Co się stało, Patrick? - Z wysiłkiem zrobiła parę kroków, przytrzymując się pnia, żeby utrzymać równowagę. Nagle poczuła, jak Patrick otaczają ramieniem.

Murphy leżał na ogromnej kupie zeschniętych liści. Ślepiec miał otwarte, lecz nawet nie drgnął. Między jego łapami leżała drobna skulona postać. Po chwili Murphy poruszył wreszcie ogonem, wzbijając chmurę suchych liści. Harriet czuła, jak ręka Patricka powoli zsuwa się z jej ramienia, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Nie była w stanie nawet oddychać. Czy Freddie śpi, czy...?

Patrick przyklęknął na górze liści i pochyliwszy się nad nieruchomym ciałem chłopca, położył palce na jego szyi. Nagle powieki dziecka zadrżały, po chwili uchyliły się, ukazując lśniące, brązowe oczy. Radosny uśmiech rozjaśnił buzię malca.

- Daddy! - zawołał uszczęśliwiony. Dwie małe rączki uniosły się do góry i objęły Patricka za szyję.

Po chwili Patrick wyprostował się, trzymając malca w ramionach. Murphy dzwignął się również, tylko znacznie wolniej.

- Zuch, Murphy - mruknął Patrick. - Dobrze się spisałeś. Harriet wciąż stała nieruchomo. W końcu oderwała oczy od twarzyczki Freddiego i spojrzała w górę. W oczach Patricka ujrziała ogromną ulgę, a po jego twarzy płynęły łzy szczęścia. W tej właśnie chwili pojęła, że to, czy Patrick jest biologicznym

ojcem chłopca, nie ma żadnego znaczenia. Kochał go taka samo jak ona.

Odezwał się telefon komórkowy.

- Idziemy już do domu - poinformował Patrick Johna. - Freddie czuje się dobrze. Usnął zmęczony zabawą i Murphy go pilnował.

- Ja naprawdę byłem zmęczony - przyznał Freddie. - Polowaliśmy na dzikie konie i smoki.

- Ja wiem, gdzie można znaleźć smoka - rzekł Patrick z poważną miną. - To dobry smok.

- Gdzie?

- Myślę, że mógł się schować w moim samochodzie.

- Czy on naprawdę jest dobry?

- Tak sądzę - uśmiechnął się Patrick i spojrzał na Harriet, która szła obok niego, jedną ręką dotykając nóżki synka, drugą grzbietu psa. - Czuję się taki szczęśliwy. A ty, Harry?

- Nigdy nie czułam się szczęśliwsza.

- Postaw mnie na ziemi - poprosił Freddie, gdy byli już blisko domu. - Zgubiłem mojego konia, muszę więc znaleźć innego. - Po chwili biegł już w stronę najbliższych zarośli, zostawiając Harriet i Patricka, którzy, trzymając się za ręce, wolno szli w stronę domu.

- Patrick? - zapytała nagle Harriet. - Czy jesteś pewien, że Freddie jest twoim synem?

- Nie, nie jestem - odrzekł bez wahania.

- To przecież nie ma znaczenia, nie uważasz?

- Nie ma.

- Czy czułbyś do mnie to samo, gdybym nie miała Freddiego?

- Kocham cię, Harry - powiedział po prostu. - Gdyby Fred-

die nie istniał i gdybyś nawet nigdy nie mogła mieć dziecka, nadal chciałbym spędzić z tobą resztę życia. Chcę, żebyśmy jak najszybciej się pobrali. Freddie to nagroda. Bardzo szczególna nagroda.

Obserwowali, jak Freddie biegnie w ich kierunku, triumfalnie wymachując dużym patykiem. Harriet mogłaby przysiąc, że słyszała westchnienie Murphy'ego.

- Powiedziałam sobie, że to niemożliwe - przyznała. - Czasem lubię się zamartwiać.

- Coś takiego! - Patrick roześmiał się serdecznie.

- Pamiętam, co kiedyś o mnie myślałeś, jak bardzo mnie nie lubiłeś i nie mogłam znaleźć jakiegokolwiek powodu zmiany twojego stosunku do mnie, poza Freddiem.

- Powinnaś była spojrzeć w lustro. W końcu przekonałem się, jaka naprawdę jesteś.

Freddie zmienił nagle kierunek, widząc swojego dziadka biegnącego przez trawnik. Tuż za nim podążał Gerry.

- Później pomyślałam, że to musiał być seks - ciągnęła Harriet. - Że po prostu zrozumiałeś, ile straciłeś.

- Nie chodziło mi o zwyczajny seks - odrzekł Patrick. - To, co nas połączyło, to był najprawdziwszy akt miłości, jaką daje się sobie nawzajem. Satysfakcja i zadowolenie, gdy seks nie jest jedynie fizycznym połączeniem. I nie powinienem był wtedy mówić, że zapomniałem, jaki jest wspaniały. Właściwie nigdy nie wiedziałem, że aż tak wspaniały może być.

Harriet zarumieniła się.

- Był wspaniały, prawda?

- Będzie wspaniały - poprawił ją. - Nawet lepszy niż wspaniały. Wyjdiesz za mnie, Harriet?

- Bardzo tego pragnę - uśmiechnęła się. - Wszyscy tego

chcemy, ja, Freddie i... Murphy. - Pomachała ręką ogromnemu psu, któremu właśnie dwie małe rączki ostrożnie wsuwały patyk do pyska. Jej śmiech urwał się nagle, gdy Patrick ją pocałował.

- Co tu się dzieje? - zapytał John.

- Harriet zgodziła się właśnie wyjść za mnie za mąż - wyjaśnił Patrick. - Choć właściwie powinienem ciebie najpierw poprosić o jej rękę.

- Masz moją zgodę. - John uśmiechnął się szeroko. - Chocierne się cieszę. Uczcijmy to butelką dobrego piwa.

- Za chwilę - zgodził się Patrick - musimy tylko coś jeszcze wyjaśnić. Harry, czy nie chciałaś czasem porozmawiać o czymś z Gerrym?

- Racja - przyznała. - Wiem, że chcesz szybko sprzedać posiadłość, Gerry. Czy jest jakaś szansa, żeby wyłączyć z niej nasz dom? Chcielibyśmy go kupić.

- Och, Harriet, tak mi przykro - odrzekł Gerry. - Mój prawnik zawiadomił mnie dziś po południu, że posiadłość została już sprzedana. Gdybyś mnie o to zapytała wczoraj! Obawiam się, że teraz już nic nie da się zrobić.

- A więc wszystko przepadło. - Twarz Harriet pobladała.

- Niekoniecznie. Możesz spróbować porozmawiać o tym z nowym właścicielem - zasugerował Gerry. - Wprawdzie wszystkim zajmuje się mój prawnik, ale mogę uzyskać od niego nazwisko nabywcy.

- To nie będzie konieczne - wtrącił Patrick.

Harriet spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Ale ja muszę z nim porozmawiać.

- Proszę bardzo. Nikt ci przecież nie zabrania.

- Co masz na myśli? - Harriet wyglądała na zakłopotaną.

- Porozmawiaj z nowym właścicielem - powtórzył Patrick.
- Przecież nie wiem, kto nim jest.
- Ale ja wiem. - Patrick uśmiechnął się szeroko. - Właśnie do niego mówisz.
- Kupiłeś posiadłość? - zawołał ze zdumieniem John.
- Oczywiście. Dla mojej rodziny. Harry, chcesz mieszkać w tym małym domku czy w zamku?
- Ja... - Nie mogła wykrztusić słowa.
- Zawsze możemy pozwolić mieszkać w zamku ogrodnikowi. - Patrick zerknął na ojca Harriet. - Co o tym sądzisz, John?
- Nie ma mowy! - John uśmiechnął się szeroko. - Idę na emeryturę i zaczynam długi miesiąc miodowy. Możemy wpadać do was od czasu do czasu i korzystać wtedy z pokoju gościnnego.
- Zostawimy więc chyba wybór Freddiemu. - Patrick przykucnął przy malcu. - Czy chciałbyś mieszkać w zamku, Freddie?
- Czy to tam, gdzie mieszka smok?
- Właśnie tam. Chcesz ją zobaczyć?

Chłopiec skinał głową i podał rękę Patrickowi.

- Chodźmy, Daddy.
- Patrick uśmiechnął się do Harriet.
- Pójdiesz z nami?
 - Spróbuj mnie zatrzymać.

Murphy wypuścił z pyska patyk i ruszył za nimi. Przez jakiś czas słychać było pełen powagi głos Freddiego.

- Daddy, skąd wiesz, że ten smok to dziewczynka?
- John klepnął Gerry'ego Henleya po ramieniu.
- Chodź, bracie, nic tu po nas. Lepiej poszukajmy tego piwa.

EPILOG

Para ogromnych, brązowych oczu, które zdawały się wypełniać całą drobniutką twarzyczkę, spoglądała z powagą na Patricka.

Tym razem nie było żadnego kartonowego pudełka, które udzieliłoby schronienia maleństwu. Sterylnie czyste, plastikowe łóżeczko zapewniało komfort i bezpieczeństwo. Twarz Patricka promieniała szczęściem.

- Jesteś wspaniała, wiesz? Wyglądasz zupełnie jak twoja mamusia, Sophie Patricio Miller.

Harriet Miller uśmiechnęła się, z czułością patrząc na córeczkę.

- Wygląda tak jak Freddie tuż po urodzeniu. Są jak dwie krople wody. Mogliśmy sobie zaoszczędzić kłopotów z przeprowadzaniem testu DNA Freddiego dla potwierdzenia twojego ojcostwa.

- Przypominam, że to był przecież twój pomysł - zauważył Patrick, całując z czułością żonę. - Najcudowniejszy i najbardziej niezwykły prezent, jaki można otrzymać w pierwszą rocznicę ślubu.

- Twoje pierwsze dziecko - uśmiechnęła się szeroko Harriet. - A nasza druga rocznica wypada w następnym tygodniu, tak więc tym razem Sophie jest tym prezentem.

Patrick uniósł do góry brwi.

- Czyżbyś miała zamiar zrobić z tego zwyczaj w każdą kolejną rocznicę?

- Może tylko co drugi rok - odparła z uśmiechem. - Freddie chce mieć dużo siostrzyczek i braciszków, żeby zapełnić wszystkie pokoje.

- Mamy jeszcze tylko cztery wolne sypialnie - z udaną powagą powiedział Patrick.

- Przynajmniej jednej potrzebujemy dla gości - dodała Harriet. - A propos, miałeś jakieś wiadomości od taty i Marilyn?

- Robią wszystko, żeby jak najszybciej wrócić. Bez rezerwacji niełatwo jednak zdobyć bilety z dalekiego Peru.

- Strasznie im się wydłużył ten miesiąc miodowy — mruknęła Harriet. - Przez osiemnaście miesięcy zdążyli już chyba oblecieć cały świat.

- To nie ich wina, że zdecydowałaś się urodzić Sophie dwa tygodnie wcześniej. Tak czy owak, mają przylecieć jutro po południu. Odbiorę ich z lotniska i przywiozę prosto do szpitala.

- Nie ma mowy! - zaprotestowała. - Rano wracam do domu. Dwadzieścia cztery godziny w szpitalu to zupełnie wystarczy. Murphy pewnie myśli, że go porzuciłam. Był taki nieszczęśliwy, kiedy zabierałeś mnie rano z domu.

- Kiedy wróciłem po twoją torbę, towarzyszył Luke'owi przy koszeniu trawników. A Freddie był zachwycony, kiedy zabrała go do siebie Maggie. O wilku mowa... - Patrick przechylił głowę, słysząc znajomy śmiech w korytarzu. - Myślę, że mamy gości.

Po chwili wózek na kółkach z dużą szybkością minął drzwi. Maggie Baxter zdjęła z kolan dwuletnią Molly i całując jej jasne włoski, postawiła ją na podłodze. Potem płynnym ruchem prze-

niosła się z fotela na brzeg łóżka Harriet i pochyliwszy się nad nią, serdecznie ją uściskała.

Mały chłopczyk z poważną miną wśliznął się za wózkiem i spokojnie czekając, aż będzie mógł uściskać mamę, ciekawie zerkał do łóżeczka. W rączkach ścisnął niezwyklego misia. Harriet ze zdumieniem spoglądała to na Freddiego, to na Maggie. Jakby w odpowiedzi na niemą prośbę Maggie, Patrick podniósł do góry maleńkie zawiniątko i ułożył w jej ramionach. Maggie z promiennym uśmiechem spojrzała na Harriet.

- Opowiedz mamie o misiu, Fred - zachęcała.

- Sami go zrobiliśmy - wyjaśnił chłopiec. - Wtedy, kiedy ty rodziłaś dzidziusia. Zrobiliśmy go ze starej koszuli taty.

Przytulanka z flaneli w szkocką kratę miała pomarańczową kokardę i oczy zrobione z niezbyt dobrze dobranych guzików.

- Maggie znalazła tę kokardę - dodał Freddie.

- Domyśliłam się - rzekła Harriet z uśmiechem. - To bardzo piękny gest, kochanie. Podarowałeś jej swoją koszulę. - Otworzyła ramiona. - A teraz daj mi całusa, a ja pokażę ci mój prezent.

Harriet uśmiechnęła się do Maggie i mrugnęła porozumiewawczo. Patrick wyciągnął jakieś płaskie zawiniątko, które Freddie zaczął z zapalem rozwijać.

- To książka! - zawołał. - Moja książka!

- Luke otrzymał dziś wiadomość, że ta książka znalazła się na liście kandydatek do jednej z najbardziej prestiżowych nagród w dziedzinie literatury dziecięcej - oznajmiła z dumą Maggie.

Wszystkie oczy spojrzały na błyszczącą, kolorową okładkę książki. „Freddie i jego niezwykle pies” - autor tekstu Luke

Baxter, ilustracje Maggie Baxter. Książkę dedykowano Freddiemu i jego czworonożnemu przyjacielowi.

- Będę ją mógł zacząć czytać już w przyszłym tygodniu, kiedy zacznę chodzić do szkoły - powiedział z dumą Freddie.

- Oczywiście - zapewniła go Harriet. - A ja z radością będę słuchała. Każdego dnia.

- Jesteś pewna, że rezygnując z pracy, będziesz szczęśliwa?

- spytał Patrick z niepokojem. - W szpitalu wszyscy będą za tobą tęsknili.

Harriet otworzyła szeroko ramiona, by zabrać od Maggie córeczkę.

- Jestem pewna - powiedziała spokojnie. - Nie sadzę, że-
bym kiedykolwiek była bardziej szczęśliwa.

RS